



**Ż N I W A
W CAŁYM KRAJU**
Kombajny na polach.
Coraz częściej pracę
rąk ludzkich spełnia
nowoczesna maszyna
Fot. „Świat” — K. Jarochoński

W NASZYM polskim klimacie lipiec bywa najgorętszym miesiącem roku. I w tym roku był gorący, ale inaczej niż zazwyczaj. Bo pogoda raczej nie dopisuje, lato mamy dość chłodne i wilgotne. W tej sytuacji najważniejsza powszednia lipcowa sprawa — żniwa odbywają się w atmosferze prawdziwej walki o każdy snop, o każdy kłos, o każde ziarno.

Mieliśmy też w lipcu prócz spraw powszednich sprawy świąteczne. Świąteczną sprawą była 22-ego rocznica powstania Polski Ludowej, tym razem rocznica dziesiąta. Z zadowoleniem tego dnia Polacy podsumowywali swoje zdobycze, swoje osiągnięcia, swoje sukcesy i zwycięstwa tego okresu. Bez sztucznego patosu, a tylko zgodnie z prawdą powiedzieć można, iż w mijającym tysiącleciu Polski takiego dziesięciolecia nie było.

Polacy przypominają sobie swój biedny, zacofany kraj przedwojenny, kraj nędzy i bezrobocia, zawiłości od imperializmu i kolonialnej gospodarki obcego kapitału. Polacy przypominają sobie, w jakim stanie ojczyznę naszą pozostawili hitlerowscy okupanci. Przypominają sobie i porównują. Patrzą na swój rozwijający się potężnie przemysł, na odbudowane miasta, a zwłaszcza na swą niezłomną stolicę — Warszawę, patrzą na przemiany dokonujące się na wsi, a nade wszystko na przemiany dokonane i dokonujące się w ludziach...

Do wielkiej miłości kraju ojczystego przybywa nowy element, wzmacniający, pogłębiający tę miłość: wielkie dokonania, wielka praca całego narodu każe jeszcze bardziej kochać to, co się samemu ciężką nieraz i trudną pracą rozwinięło i zbudowało.

JESTEŚMY z dzieła naszego zadowoleni i pragniemy je prowadzić dalej. Kiedy jednak patrzymy na nasze miasta i wsie, na nasze domy i szkoły, na nasze fabryki i PGR-y — rozumiemy dobrze, iż dla rozwoju tego wszystkiego — dla rozwoju przemysłu i rolnictwa, oświaty i kultury potrzeba jednego wielkiego warunku. Nie tylko zapалу, energii, miłości, zdolności, sił mięśni i mózgów — to wszystko posiadamy, to wszystko powiększać i mnożyć — to nasze własne bezpośrednie zadanie. Ale poza tym potrzebny nam jest pokój. Pokój to powietrze, w którym rozkwitają wolne narody, pokój jak powietrze jest ludziom i całemu narodowi potrzebny do życia i rozwoju.

Nasza radość w dniach lipcowego naszego święta pomnożona została przez radosne wieści nadeszłe z Genewy, wieści o zawarciu zawieszenia broni w Wietnamie, Laosie i Kambodży. Nie było Polki i Polaka, który by nie rozumiał, iż zwycięstwo pokoju w naszej Warszawie, w naszym Krakowie i pobliskiej Nowej Hucie, w naszym Wrocławiu i naszym Gdańsku.

Święto naszego Dziesięciolecia ujęte zostało jak w kłameż zwycięstwem pokoju w Azji i dalszymi dążeniami do umocnienia pokoju w całym świecie. Wszyscy rozumiemy, jak wielkie znaczenie dla nas, dla każdego z nas oddzielnie i dla całego naszego narodu ma to, co osiągnięto w Genewie. Wszyscy rozumiemy, jak wielkie mają znaczenie propozycje radzieckie z dnia 24 lipca.

Naród polski jest zainteresowany pokojem na całym świecie. Naród polski rozumie, że sprawa pokoju w Europie to jego najżywniejsza sprawa. Historia ostatnich lat kilkudziesięciu nauczyła nas

tej prawdy, że wojna europejska to dla nas zło i zniszczenie najcenniejszych wartości. Historia nauczyła nas, że ożywienie i uzbrojenie w Niemczech sił wojny i zaborczości oznacza dla Polski zagrożenie jej niepodległości.

Narodom zachodu Europy — Francuzom, Włochom, Belgom, Holendrom, a także i samym Niemcom — usiłują amerykańscy politycy i ich miejscowi pełnomocnicy wytłumaczyć, że utworzenie armii niemieckiej pod pozorem jakiejś armii ponadnarodowej leży w ich interesie. Wygląda to tak, jakby w przeszłości wojska pruskie nie wkroczyły były do Paryża, gdyby istniały w ramach jakiejś ówczesnej bismarckowskiej „wspólnoty obronnej”. A przecież potem i Hitler miał swoją „armię europejską”. Armia hitlerowska przecież także bronić miała „Europę” i starała się nawet włączyć do swych szeregów oddziały innych narodowości — co zresztą nie bardzo się udawało.

Słowo „Europa”, pojęcie „Europa” nie jest nam obce. A pokój w Europie tym bardziej, jest to bowiem nasz pokój. Ale chcemy, by słowo Europa było jednoznaczne ze słowem pokój. Jesteśmy przekonani, że to, co robimy na zachodzie Europy Amerykanie, nie prowadzi do pokoju, tym samym jest antyeuropejskie, jest skierowane przeciwko wszystkim, wszystkim bez wyjątku narodom Europy.

CZY narody mogą obrać inną drogę niż ta, którą im wskazuje i nakazuje Dulles? Genewa dowiodła, że droga taka istnieje. To droga współpracy międzynarodowej, droga pokoju, droga wymiany handlowej i kulturalnej.

W swoich propozycjach Związek Radziecki wskazuje na możliwość i konieczność zrobienia nowego, śmiałego kroku na tej drodze. Związek Radziecki proponuje konferencję wszystkich państw europejskich celem ustanowienia w naszej części świata bezpieczeństwa zbiorowego. Gdy istnieje wspólność losów, istnieje może wspólna budowa zbiorowego bezpieczeństwa. A czyż nie wspólne dążenia łączą mieszkańca Warszawy, Hamburga, Moskwy, Paryża, Berlina, Pragi czy Sofii? Każdy z mieszkańców tych miast europejskich, zapytany zniechęca, powiedziałby swoim językiem, ale to samo słowo, będące pragnieniem wszystkich Europejczyków (z wyjątkiem tych niewielu, których nazwać by należało wallstreetowcami żyjącymi w Europie), odpowiedziałby, że pragnie pokoju.

A więc tym samym tego, co proponuje ZSRR — bezpieczeństwa zbiorowego w Europie.

Są w Europie i w Ameryce politycy, którzy mają pełne gęby Europy. Mówią wiele o Europie, a myślą przeważnie o amerykańskich zyskach i bardzo nie lubią narodów Europy. My nie mamy zwyczaju odmieniać ciągle słowa „Europa”. Niemniej, gdy mówimy — pokój, dajemy najlepsze świadectwo naszej, dobrej i rzetelnej europejskości. Europejczykiem jest ten, kto pragnie zachowania, niezagrożenia i Wawelu, i Kremla, i Pałacu św. Jakuba, i katedry w Kolonii, i katedry Notre Dame. Marnym, podejrzany Europejczykiem ten, kto stworzyć chce taką sytuację międzynarodową, która by zagrażała tym najwspanialszym budowlom Europy, a tym samym życiu narodów Europy. Gorące mamy tego lata myśli, gorące sprawy. Cieszymy się, że jak zawsze, gdy tego trzeba, głos Związku Radzieckiego podnosi się w obronie pokoju. Mamy przekonanie, że — jak zawsze — skutecznie...

JAN SZELĄG



W ostatnich dniach lipca br. bawił w Warszawie premier Chińskiej Republiki Ludowej, Czou En-lai. „Polityczna doniosłość tej wizyty — powiedział Bolesław Bierut — wynika z tego, że jest ona symbolem wielkiego przełomu historycznego, który dokonał się w ciągu ostatniego dziesięciolecia zarówno w naszym życiu — w życiu narodu polskiego — jak w życiu i dziejach Wielkiego Narodu Chińskiego, który po długiej

KOMBAJNY W BITWIE O CHLEB



A. Nowosielski

„Musimy sobie uświadomić — pisał w „Trybunie Ludu” wiceminister PGR, M. Bodalski — że w trudnych żniwach poważną rolę do odegrania mają właśnie kombajny i suszarnie. Od nich zależy przeprowadzenie żniw bez opóźnień i bez strat”

ODZNACZENIE FASTA



W Nowym Jorku wręczono pisarzowi Howardowi Fastowi (przed mikrofonem) Stalinowską Nagrodę Pokoju

WSZECHZWIĄZKOWA WYSTAWA



Otwarta ostatnio w Moskwie Wszechzwiązkowa Wystawa Rolnicza daje szeroki obraz rozwoju i osiągnięć socjali-

WARSZAWIE



CAF

Iec z zwycięskiej walce z imperialistyczną tyranią wkroczył — tak jak i my — na nową drogę swego rozwoju". Zdjęcie lewe przedstawia premiera Chińskiej Republiki Ludowej Czu En-laia podczas zwiedzania terenu budowy Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina w Warszawie, zaś zdjęcie prawe dokonane zostało na warszawskim lotnisku bezpośrednio przed odlotem chińskiego gościa ze stolicy Polski

NA PUNKCIE SKUPU



CAF

Wielu chłopów z Garbowa (pow. Puław), przeważnie małorolnych, wykonało już plany dostawy ziarna dla państwa

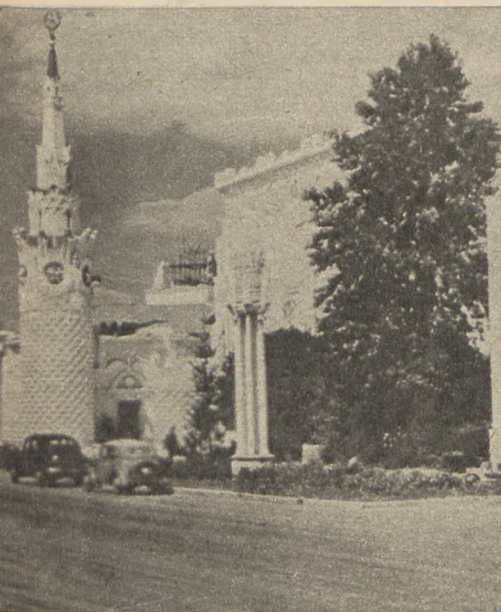
MASZYNY DLA WSI



CAF

Z fabryki w Płocku, która produkuje m. in. nowoczesne żniwiarki, jeszcze jedną ich partia rusza na wieś z bocznicy

ROLNICZA W MOSKWIE



CAF

stycznego rolnictwa, wzrostu produkcji kółchozów i sowchozów. Jest ona doskonałą szkołą przodujących doświadczonych

POWÓDŹ W NIEMCZECH



Keystone

ludzi, których pozbawiła dachu nad głową powódź — najcięższa od 60 lat

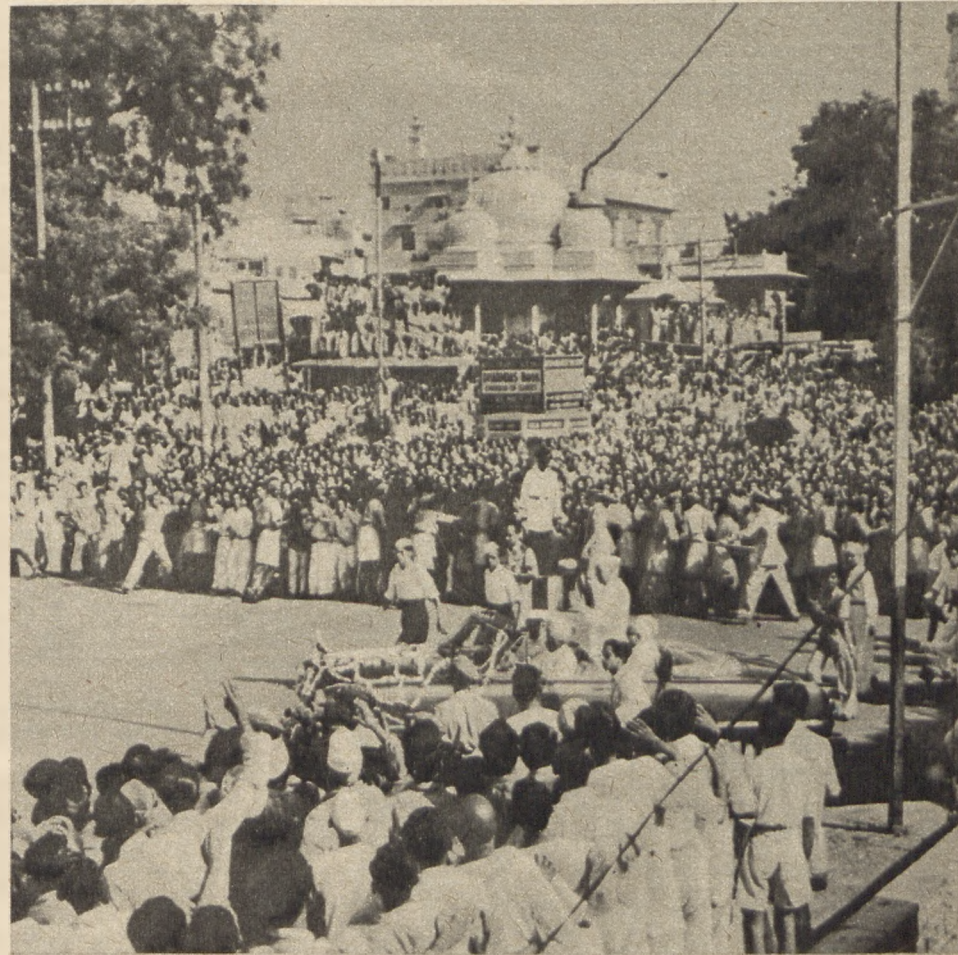
MOSKWA OBCHODZI DZIESIĘCIOLECIE POLSKI LUDOWEJ



CAF

Zespół Pieśni i Tańca Wojska Polskiego wystąpił w sali kolumnowej Domu Związków w Moskwie na uroczystym wieczorze poświęconym X-leciu Polski Ludowej.

KONGRES WSZECHINDYJSKI



Keystone

Indie wespół z Polską i Kanadą zgodziły się na udział w Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych, powołanej w Genewie do wykonania rozejmu w Indochinach. Na zdjęciu: premier Indii Nehru przybywa na posiedzenie Wszechindyjskiego Kongresu



NA FAJANSIE

JULIA HARTWIG

Zdjęcia: Z. MAŁEK

WŁOCŁAWEK ciekawił mnie od dawna. Może sprawiły to jakieś zdjęcia tego miasta, znalezione w „Architekturze Polskiej“, może dopełniła miary sympatii „Pamiętka z Celulozy“ — nie wiem. Ale wiem, że ostateczna decyzja wyjazdu wynikała z nieposkromionej namiętności do wrocławskiego fajansu. Zaczęło się to od zdarzenia zgoła niewinnego. Pewnego dnia wyżej podpisana weszła do sklepu przemysłu ludowego „DESA“, mieszczącego się przy ulicy Nowy Świat w Warszawie. Weszła i w pewnym sensie, oczywiście sensie bardzo szczególnym, do dziś z niego nie wyszła. Więzy, jakie ją z tym sklepem łączą, są co prawda więzami fajansowymi, ale kto przypuszczałby, że jest to więz krucha — byłby w błędzie. Zresztą, jeśli ktoś z Czytelników zechciałby sprawdzić, czy rzucane w dalszym ciągu pochwały i nagany są sprawiedliwe, może w sposobnej chwili wejść do tego sklepu i obejrzeć sobie wrocławski kubek, czarkę lub talerz. Każdy z tych przedmiotów malowany jest w inny wzór i na dnie każdego widnieje obok stempla Włocławskiej Fabryki Fajansów podpis robotnicy-malarki, która ten wzór wykonała. Odczytując właśnie owe nazwiska podczas swoich nalogowo niemal częstych odwiedzin w „DESIE“, zapoznałam się z całym zespolem malarni Włocławka na długo przedtem, nim dane mi było poznać go osobiście. Zebrałam sobie przy tej okazji spory stosik tych kubeczków i talerzy i to nawet nie z gospodarskiej skrzętności, ale po prostu dla radości oczu. Proszę — na przykład tę niusieczkę w czerwone róże malował pracowity i pomysłowy zespół, którego nazwiska widnieją na odwrocie: Zajkowska, Wódecka i Wojtczak; tę salaterkę z trzema różnokolorowymi kwiatami i żółtym dzwoneczkiem malowała Adamczewska, ten znów fantazyjny kobałtowy kwiat jest projektu Wałęsowej, tamten z żółto-zieloną girlandą robiła Chuchmała, pstry wysoki kubek dekorowała Kielkowska.

Wkrótce nauczyłam się rozróżniać styl poszczególnych artystek, często udawało mi się zgadywać z wzoru jego autorkę. Gadu, gadu o tym Włocławku, zaczęłam się dopytywać, czy ktoś ze znajomych, zwłaszcza spośród plastyków, nie zna tamtejszej fabryki fajansu. Wypytowałam sobie jako „po-dejrzanych“ profesora Buszka i dwójkę malarzy — Helenę i Lecha Grześkiewiczów. Jak mi bowiem wiadomo, ludzie ci obkuci są jak się patrzy w sprawach porcelany, fajansu i wielu innych sztuk — jak to jest niemodne dziś nazywać — stosowanych i chętnie użyczają swego czasu i doświadczenia amatorom i twórcom ludowym. A te malowania na fajansie wyglądały mi właśnie na samorodną twórczość, odpowiednio tylko ośmieszoną przez ludzi z malarskim doświadczeniem. Obserwując przez wiele miesięcy wzory wychodzące z Włocławka, można się zresztą było dopatrzeć różnych, jak to mówimy o dziełach malarskich — „okresów“, na których zaważył przypuszczalnie jakiś silny wpływ kierujący lub wytwarzana przez zespół moda.

Rzeczywiście, okazało się, że między malarkami z Włocławka przebywali w różnych latach plastycy: Zych, Buszek i ostatnio Grześkiewicz. Do Grześkiewiczów zwróciłam się też po informacje o Włocławku. Zнали oni doskonale wszystkie zatrudnione w tamtejszym „ośrodku wzorującym“ robotnice-malarki nie tylko z wyglądu i nazwiska, znali również zasięg ich talentu i trudności w zawodzie. Nieobca im była także sama fabryka, która przez czas jakiś służyła im jako warsztat pracy. Prowadzili tam nie tylko kurs dla malarzy, ale przez wiele tygodni pracowali w modelarni nad własnymi projektami. Malowali talerze i pilnowali ich wypalania, potem opracowali projekt pięknego fajansowego świecznika, który zdobył kłatkę schodową w olbrzymim kawiarni warszawskiej „Nowy Świat“ i który zdobył sobie duże uznanie na wystawie w Paryżu. Nieraz słyszałam z ust Grześkiewiczów słowa pochwały dla kierownictwa fabryki, które nie poprzestając na planie i utartych drogach produkcji, chętnie gości u siebie plastyków, ułatwia im eksperymentowanie i spodziewa się po ich doświadczeniach korzyści, nie zawsze przez nasze fabryki docenianych: podniesienia jakości wyrobów i ich poziomu artystycznego.

NAJLEPIEJ SPRAWDZIĆ NAOCZNIE

Żart Hilarego Minca o ograniczonym zapotrzebowaniu naszego rządu na krzywe spodki do filizanek, takie, jakie podawano w przerwach obrad II Zjazdu Partii delegatom pijącym herbatę, obiegł cały kraj, nadany bowiem został wraz z całym przemówieniem wicepremiera przez radio. Oczywiście spodeczki były tylko jednym z licznych przykładów brakoróbstwa, przykładem,

który najdosłowniej „nawinał się pod rękę“. Uwaga mogłaby dotyczyć również gwoździ bez łebków, nie zatraskujących się zatrzasek, rozkruszonych cegieł dostarczanych na budowę, nierówno zamalowanych waleń i nieszczęsnych CHPD-owskich mebli.

O spodeczkach jednak, talerzykach i dzbankach właśnie była mowa na zebraniu produkcyjnym załogi Włocławskiej Fabryki Fajansu, które odbyło się w kwietniu tego roku, niedługo po Drugim Zjeździe. Dla tego reportażu jest to więc akurat zbieżność szczęśliwa.

Gdyby na zebranie takie można było zaprosić gospodynie domu — prawdopodobnie przysłuchiwałyby się dyskusji z wielką pasją. Mogłyby się tu dowiedzieć, jakim błędem produkcji mają do zawdzięczenia ostre ranty na talerzach, wyszczerbienia, odciski na dnie i tzw. „muchę“, która — jak mówił na zebraniu jeden z formiarzy — „męczyła nas przez cały luty i marzec“. („Mucha“ nazywa się tu czarne punkciaki na fajansowych wyrobach, powstałe z zanieczyszczenia masy). Zaproszone gospodynie domagałyby się zapewne w wolnych wnioskach, by zwiększyć ilość magnesów, znajdujących się w przewodach, przez które przepływa płynna masa w pierwszych stadiach przerobu, tych magnesów, które wychwytyują wszystkie drobne okrucy żelaza znajdujące się w glinie i zanieczyszczające potem jasną powierzchnię fajansów.

Prosiłyby również z tych samych powodów, by opiataczki lepiej omiały talerze i kubeczki po pierwszym paleniu, zanim te wyroby zamaczane zostaną w białym jak mleko szklawie i pójdą raz jeszcze do olbrzymich pieców.

Gdyby któraś z tych gospodyń zapytała o talerze głębokie, których często u nas brakuje w sklepach na wsi i w mieście, dowiedziałyby się, że Włocławska Fabryka Fajansu miała dotąd, zwłaszcza w roku 53, niejednego brak w wykonaniu planu: przez kilka miesięcy nie wyprodukowano iluś tam tysięcy talerzy, dzbanków i serwisów. Jakże były tego przyczyny? Kilkakrotnie zmienilo się kierownictwo fabryki, nim osiągnięto sukces wyrażający się cyfrą — 108,5% wykonanego planu... Stało się to w pierwszym kwartale tego roku. Załoga wzięła sobie za honorowe zadanie, by wykonać plan rytmicznie we wszystkich dziedzinach produkcji. Jeśli zaś idzie o sprawę jakości — to fajans wrocławski miał i ma przed sobą zadanie podwójnie ważne: nie tylko trzeba nasycić rynek krajowy, ale i wykonać zamówienia zagraniczne.

— Rynek krajowy wchłonie każdą ilość naszej produkcji — powiedział mi kierownik działu planowania. Rzecz więc w tym, by nie zaspokajać tej zdrowej chłonności byle czym, lecz dawać towar pełnowartościowy. Rynek zaś zagraniczny? Tam konkurencja jest olbrzymia. Każda sztuka fajansu wrocławskiego, który cieszy się za granicą dobrą opinią, oglądana jest u nas przez brakarzy wielokrotnie, nim zapakuje się ją piecizolowicie w wióry i szczelne drewniane skrzynie przed wysłaniem przez ląd i morza w daleki świat. Tego towaru najpierwszej jakości wciąż jeszcze Włocławek produkuje za mało. Wskaźnik eksportowy całej produkcji wynosi zaledwie 15%. Nabywcy kupiliby więcej. „Minex“, polska firma eksportowa, zamawia więcej niż Włocławek potrafi wysortować ze swych wyrobów. Każda zaś odmowa na wykonanie zamówienia, to stracone dewizy i — kto wie — może na zawsze stracony rynek zbytu. Nasz eksport zaś w tej dziedzinie, jak przypominają naukowcy, ma za sobą wspaniałą tradycję. I to sięgając ni mniej, ni więcej, tylko wieku... dziesiątego nowej ery. Oto co pisze na ten temat prof. Kostrzewski: „Dzięki doskonałej jakości ceramika polska z X i XI wieku eksportowana była do krajów wschodnio-bałtyckich i do Skandynawii, a znajomość koła garncarskiego przeszła z Polski i Czech do plemion zachodnio-słowiańskich nad Łabą i ówczesnych zachodnich Niemiec“.

Widziałam pod daszkami składów przygotowane już do transportu drewniane skrzynie z wydrukowanymi adresami egzotycznych krajów, do których pojadą przez tysiące kilometrów te kruche fajanse ozdobione zręcznymi rękami naszych robotnic... Sudan, Aleksandria, Damaszek, Malta...

PROCES PRODUKCYJNY, CZYLI ILE MUSI WYCIERPIĆ JEDEN TALERZ

Władysław Bortnowski, kierownik ośrodka wzorującego we Włocławskiej Fabryce Fajansów, w której pracuje od 16-go roku życia, objaśnił mi cały proces produkcyjny tak jasno, że już jaśniej nie można. Po prostu na zasadzie młynka, maszynki do mielenia mięsa i worzka do wygniatań sera. (Nie dziwnego, że właśnie jemu powierzono opiekę nad uczniami szkół ceramicznych, przyjeżdżających do Włocławka na praktykę).

...Najpierw poszlśmy do składów surowca. Na szerokim dziedzińcu leżą sobie w przegrodach pod daszkiem najróżniejsze rodzaje gliny, jasne i ciemniejsze, tuste i mniej tuste. Noszą one różne dźwięczne nazwy: „Remerton-Braun“, „Maria“, „Rokow“, ale nazwy te wcale nie są ważne dla

wykładu. Gliny te pochodzą przeważnie z naszych Ziemi Zachodnich, gdzie znajdują się znaczne ich pokłady. Glinkę czystą, najciemniejszą, tak zwany kaolin, posiadający najmniejszy procent piasku, a więc najbardziej tłusty, sprowadzamy z Czechosłowacji. Ten to kaolin służy do wyrobu porcelany, w połączeniu zaś z innymi glinami i dodatkami chemicznymi stanowi zasadniczy składnik masy, z której wyrabia się fajans.

Gliny mniej tłuste niż kaolin — na początku swej „fajansowej kariery“ wrzucone zostają do obracających się bardzo szybko młynów, wypełnionych najtwardszymi na świecie kamieniami różnej wielkości, pochodzącymi ze skalistej Skandynawii. W hali wypełnionej tymi obracającymi się bębniami panuje oczywiście piekielny hałas, co najmniej taki, jak gdyby stu potnych chłopaków potrasało stu metalowymi bębenkami wypełnionymi różnej wielkości żwirem.

Gliny delikatniejsze, drobnoziarniste, wrzucane są do wielkich kotłów z biegającymi wiatraczkami, które obracając się rozbeltują glinę z wodą. Z kolei wszystkie wybeltane odpowiednio i rozbite gliny wraz z wodą miesza się, przepuszcza przez sita, po czym przeprowadza się je do wielkiego zbiornika przewodem podobnym do odkrytej rynnny (w której właśnie tkwią magnesy zbierające okrucy żelaza, czyli niedosze „muchy“). W zbiorniku, w którym znajdzie się teraz ciecz z gliną, zostaje odsączona nadmierna ilość wody. Dalsze „wyduszanie“ wody odbywa się w wielkich wygniataczach, przypominających właśnie maszynki do mielenia mięsa, do których porównał je mój przewodnik, i w prasach, między które wkłada się płaskie pakiety gliny owinięte w grubą tkaninę (rzeczywiście przypomina to technikę wyduszania serów).

Teraz masa jest już gotowa. Gotowe jest tworzywo, któremu nadać można formę wszystkich niezbędnych w gospodarstwie a kruchych przedmiotów, stanowiących królestwo pani domu. Z masy tej można wykonać, zależnie od talentu, przedmioty o kształtach brzydkich i niepraktycznych lub tak pięknych, że gdyby one jedne tylko przechowywały się po jakiejś epoce historycznej, stanowiłyby mogły świadectwo o poziomie ludzkiego kunsztu i kultury. Ile wieści o ludziach najdawniejszych czasów przynoszą nam skorupy garnków z archeologicznych wykopalisk, ile o poziomie przedmiotów codziennego użytku i o gustach epok mówią nam holenderskie Delfty, angielskie biskwitowe Wedgwoody, fajanse francuskie, włoskie majoliki i polskie belwedery! Niestety, kruchosc ich, zwłaszcza kruchosc fajansów, większa niż porcelany, sprawia, że tylko niewiele pięknych okazów dochowało się do naszych czasów, że niszczą one z dnia na dzień, zwłaszcza gdy dostaną się w ręce przypadkowych zbieraczy.

Wszystkie formy fajansów wrocławskich powstają w modelarni, która, jeśliby zadania jej pojąć w sensie twórczym, stanowić powinna serce całej fabryki. Tu modelarze i plastycy opracowywać mogą wciąż nowe projekty naczyń, które oddane do formowni i odlewni pójda w setki i tysiące, stając się produkcją masową.

Z modelarni i z budynków, w których odbywa się przerób masy, przechodzimy do hal formowni i odlewni. Rojno tu i gwarnie, bo też najwięcej ludzi zatrudnionych jest właśnie w tym dziale. Tu przy długim stole młodzi i starzy formiarze stojąc rzędem wyrabiają talerze. Technika ich pracy przypomina zajęcia garncarza. Cały zresztą przebieg produkcji w fabryce fajansu to jakby utysiąkrotnione w rozmiarach garncarstwo. Każdy przedmiot wychodzący z tej fabryki nosi na sobie ślad rąk ludzkich. Każdy talerz formowany jest również ręcznie na obracającej się główce. Starsi, doświadczeni formiarze wykonują zresztą swoją robotę w doskonałym tempie. Taki Stefan Racki, Henryk Kalkszajn czy Albin Filipiak, wyrabiający od 220 do 270% normy, potrafią przygotować kilkaset talerzy dziennie.

Pomocnik, młody robotnik lub robotnica, podaje im formy, na które majster narzuca wycięty jak naleśnik krążek gliny:



W modelarni opracowuje się formy wszelkich przedmiotów z fajansu, które produkowane będą w fabryce.

ukształtowane już talerze odstawiają pomocnicy jak najostrożniej tak, by nie uszkodzić miękkiej jeszcze, wilgotnej masy. Po przeschnięciu talerze, ustawione na długich deskach zwanych tu „blankami”, odniesione zostają do piecowni (Zwiedzając fabrykę, raz po raz natknąć się można na biegącego szybko blankarza, który ze zdumiewającą zręcznością przenosi na ramieniu chybotała deskę z dziesiątkami naczyń). W piecowni talerze układane są w szamotowych skrzynkach, które ustawia się następnie w olbrzymim okrągłym piecu. Tu wypalane są fajanse po raz pierwszy. Kiedy piec wypełniony już jest po brzegi, zostaje zamurowany i palacz rozpala ogień. Ogień ten palić się będzie przez 20–22 godziny, a zadaniem palacza jest dbać o to, by wytwarzana temperatura nie przekraczała 1320° C, bo wówczas fajans tkwiący w piecu uległby przepaleniu, wyszłyby z niego sztuki żółte, zdeformowane i niezdatalne do wypuszczenia na rynek.

Upalne piekło, przez które przechodzi talerz przy pierwszym wypale, to jeszcze nie kres jego doskonalenia. Z pieców biskwitowych (biskwit, to fajans wypalony jeden raz, matowy, nie pokryty szkliwem) przechodzi on w ręce robotnicy zanurzającej go w szklawie (składniki szklawy podobne są do składników szkła i one to nadają fajansowi połysk), po czym zostają zapakowane raz jeszcze do szamotowych skrzynek i wstawione ponownie do pieca, do tzw. ostrego wypału, skąd przechodzą do sortowni, wyglądzone z „pin” (śladów zetknięcia się ze skrzynką szamotową w czasie wypału) i przekazane ekspedycji.

By zdać sobie sprawę z czasu- i pracochłonności, jakiej wymaga wykonanie jednej sztuki fajansu, wspomnieć trzeba, że wygaszanie pieców i ochładzanie znajdujących się w nim wyrobów, musi być dokonane bardzo powoli i oszczędnie. Piec stygnie niemal tyle czasu, ile trzeba na wypał.

W tym opisie produkcji talerza pominieliśmy jedną fazę, niekoniczną w masowej produkcji, ale w artystycznej ogromnie ważną, tę, która stanowi o największych urokach wrocławskich fajansów: malowanie. Odbywa się ono po pierwszym wypale, na biskwicie, i sprawia, że zwykły biały talerz, jeden z miliona, nabiera cech własnych, po których rozpoznać go można wśród całej sterty najróżniejszych skorup. Ale tej sprawie warto poświęcić zupełnie odrębny rozdział.

O RÓŻNYCH SPOSOBACH MALOWANIA

Oczywiście, te malowanki na fajansach i porcelanach wyglądają bardzo różnie. Nieraz wolimy kupić czystą białą filiżankę, niż zdobioną niepomysłowym, na pudy stosowanym wzorem. Włocławska Fabryka Fajansów ma, niestety, również sporo takich wyrobów. Przeważnie jest tak właśnie z dekorowaniem (tak określa się w fabryce wszelkie zdobienie fajansu) przez tak zwany szablon, często nieciekawych, stosowany bezmyślnie i od lat nie odnawiany.

Ten, kto widział kiedyś, jak malarze pokojowi malują ściany przez wycięte blaszane wzory, będzie miał dobre wyobrażenie o podobnym dekorowaniu fajansów. To samo, tylko na kubeczku, misie lub czarce wyjętej z biskwitowego pieca.

Nie zawsze można składać winę za brzydkie wzory wyłącznie na fabrykę. Zagraniczny odbiorca nieraz sam wybiera sobie wzór, czasem przysyła nawet jakąś starą skorupę i żąda zrekonstruowania rysunku. Pokazywano mi na przykład czarkę z reliefowym wzorem przedstawiającym... lwy pod bambusem.

Zupełnie nowy rozdział w sposobach dekorowania — to malowanie ręczne. Tu właśnie wrocławski fajans osiąga często w swych najbardziej udanych próbach — poziom fajansu artystycznego. Taki właśnie fajans barwny, żywy, ze śladami



Tysiące, miliony fajansowych naczyń ręcznie malowanych... Ambicją Włocławskiej Fabryki Fajansów jest tworzyć i wypuszczać na rynek w kraju i za granicą wciąż nowe, proste, a nawiązujące do tradycji wzory

ludzkiej ręki, sprawił, że zapragnęłam zobaczyć na własne oczy i poznać twarze i zdolne ręce, które kryją się za nazwiskami widniejącymi na dnie talerza: Chuchmała, Zajkowska, Wałęs i wiele innych.

Malarki te zastałam w tzw. ośrodku wzorującym, skąd wychodzą wszystkie nowe projekty zdobnicze. Przed nimi, na blacie stołu rzędem stały miseczki z rozrobionymi farbami, leżały pęki cieńszych i grubszych pędzeli. Spojrzałam na talerze przygotowane już do drugiego wypału i zdumiałam się: pokryte były bladymi, płaskimi motywami, które w niczym nie przypominały żywych, oszałamiających kwiatów, na których tak wyraziście znać było ślad pędzla i grubość nałożonej farby.

— Na tym właśnie polega trudność tzw. malowania podszkliwnego, które ma największe zastosowanie w fajansie — wyjaśniła mnie młoda projektantka ośrodka, ze szkoły prof. Krzywca. — Przed wypałem nie widać jeszcze tego pięknego cieniowania, jakie daje umiętne prowadzenie pędzla, barwa jest martwa i bez blasku. Malowanie podszkliwe wymaga wielkiego doświadczenia i pewności ręki: raz wypalony czerep wchłania szybko wodę, tak że jakiegokolwiek poprawki są niemożliwe. W nagrodę otrzymuje się za to po wypaleniu piękne efekty malarskie, mimo że paleta barw jest ograniczona.

Co zaś do biegłości ręki wrocławskich malarek — to wprowała mnie ona w nieklamane zdumienie. Wspominały mi już o tym Grześkiewiczowie, którzy na kursie ledwo mogli nadążyć z ocenami: obejrżeli prace ostatniej, pierwsza zdążyła już wykonać kilka nowych projektów. Wprawa i pomysłowość naprawdę niezwykła. Ale też wszystkie niemal robotnice z tego zespołu pracują w swoim zawodzie, w tej samej fabryce, co najmniej od kilkunastu lat.

Przywiązane są do swego zajęcia, a choć narzekają czasami, że już im pomysłów brak i że od bezustannego projektowania snia im się po nocach wzory, są przecież z pewnością dumne, że modele ich tak się podobają, że idą na wystawy krajowe i zagraniczne, że zdobywają sobie poklask i uznanie.

Poruszając szybko pędzlem po powierzchni filiżanki opowiadała mi jedna z malarek: — Pan Grześkiewicz od pierwszego dnia kursu mówił nam, że najpiękniejsze z naszych wzorów są te, które wywodzą się z tutejszej sztuki kujawskiej. Przypomniat nam, że my same malowałyśmy kiedyś przed laty chętnie kujawskie róże. To prawda, ale w tamtych czasach w dyrekcji mówili, że to ordynarne. Takie talerze wysyłało się tylko na wieś.

Stucham uważnie jej słów, patrzę na wyrastający spod jej ręki kwiat i nie mogę pokonać cichego zdumienia, które wypełnia mnie od pierwszej chwili, kiedy opowiedziano mi dzieje tych kilku utalentowanych kobiet.

Te malarki nigdy właściwie nie uczyły się m a l o w a ć. Od dwudziestu, czasem od trzydziestu lat zdane były na własne poszukiwania i błędy. I na zły gust dyrekcji czy odbiorców. Ośrodek wzorujący założony przecież został stosunkowo niedawno. Zaczęli tu przyjeżdżać plastycy; pracowali sami i pomagali zespołowi. Jakże są wyniki? Naprawdę doskonałe. Fakt ten budzi jakąś dobrą radość, uczucie wielkiej wiary w ukryte źródła sztuki, smaku i wrażliwości, tkwiące w każdym człowieku. Prof. Buszek zabrał kiedyś grupę dziewcząt wiejskich, które przyjechały po pracę do fabryki cygar na przedmieściu Krakowa, i kazał im malować batik w pracowni, w której grono zapalonych plastyków postanowiło pracować nad podniesieniem poziomu artystycznego przedmiotów codziennego użytku. Dziewczeta, które nie umiały początkowo postawić prosto kreski, stworzyły po kilku tygodniach oszałamiające wzory na tkaniny.

SZKODA ŻEGNAĆ WŁOCŁAWEK

Pogoda była podczas mego pobytu niegospinna, dał ostry wiatr, co chwila sypały deszcze, Wisła była zła i stalowo-siną jak nóż. Kiedy jednak ostatniego dnia na pożegnanie błysnęło słońce, Szpetal Górny, przepiękny, porośnięty lasem wysoki brzeg z drugiej strony rzeki, założył się żółtym piaskiem, pojaśniały czerwone karbowane dachówki farnego kościoła wzrosłego od starości w ziemię. Stary Rynek z barokowymi kamieniczkami poszerzył się jakoś i zamigotał szybami pod czystym niebem.

Do tego Włocławka, drodzy moi, chce się wracać.

Nim przyjadę jednak znów do tego miasta, które tak przypadło mi do gustu, może po to, by obejrzeć projektowane stalodruki na talerzach i zajrzeć do muzeum, do garnków z Kowala i świątków Michała Błaszczyka i Jana Centkowskiego — chcę pozdrowić jeszcze i wspomnieć tych wszystkich, dzięki którym Włocławek wydał mi się tak ładny: Władysława Bortnowskiego, tak dobrze znającego to, co lubi — swoją pracę i fabrykę, malarki pochylone rzędem nad stołami w jasnej pracowni na pięterku, dyrektorski pokój, gdzie nie pachnie dyktowaniem, i nowowypalony wzorowy żłobek. Wspomnieć starych formiarzy pracujących jak szybkie mrówki i rozdowcipkowanych młodych blankarzy i sortowniczkę ostukującą talerze w piekielnym zgłębku magazynu. I wartowniczkę o skośnych oczach. I starego Michała Pietrusiewicza, ostatniego Mohikanina, jedyne go na całą fabrykę specjalistę od wyrobu półmisków (co będzie z kadrami?), który pracuje w fabryce od 53 lat: a przy następnej okazji chciałabym go zapytać, czy wciąż tak samo sumiennie tyka jego antyczny zegarek z dewizką, leżący w podręcznej szufladzie, i czy nadal mu służy wierna fika do papierosów z wiśniowego drzewa, i czy doczekał się wreszcie zmiany normy, ustalonej całkiem nie na wiek starego weterana fajansu.

Ostatnie zaś pozdrowienie jest dla wesołego kelnera z restauracji „Pod orłem”, który obsługiwał gości, takt muzyki radiowej, i który postawił przede mną ostatniego dnia w południe prawdziwy żurek kujawski w misie malowanej w kujawskie róże. W misie z wrocławskiego fajansu.



Tu, w sercu Włocławskiej Fabryki Fajansów, zapadają pierwsze decyzje dotyczące estetyki kształtu



— Uwaga! W skrzyniach są przedmioty kruche! Jadą nasze fajanse do Sudanu, Aleksandrii i Damaszku

NA BIEGUNIE PÓŁNOCNYM WRE PRACA...

O D PRZESZŁO dwóch miesięcy czynne są w rejonie bieguna północnego dwie dryfujące stacje naukowe, nazwane „Biegun Północny — 3” i „Biegun Północny — 4”. Cyfry w tych nazwach podkreślają ciągłość radzieckich prac badawczych w rejonie Centralnej Arktyki: pierwszą dryfującą stacją była słynna wyprawa Papanina i jego trzech towarzyszy w roku 1937, drugą — radziecka stacja w latach 1950—51.

Tegoroczne stacje naukowe różnią się jednak od poprzednich zarówno rozmachem przygotowań, jak liczebnością ekip naukowych i wszechstronnością prowadzonych prac badawczych. Stacje „Biegun Północny — 3” i „Biegun Północny — 4” są znakomicie wyposażone nie tylko w najnowocześniejszy sprzęt naukowy, ale i we wszystkie urządzenia ułatwiające normalne warunki życia i pracy — od kina, pralni i składanych domów — do traktorów, śmigłowców i stacji radiowych.

Spośród licznych problemów naukowych, rozpatrywanych w dwóch biegunowych stacjach — na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia nawigacji na Północnym Szlaku Morskim.

ZDOBYWCY SZLAKU

O tym, że ląd Eurazji obmywa od północy morza — wiadano już w średniowieczu. W XVI stuleciu Anglicy poważnie myśleli o dotarciu do Indii i Chin drogą morską wokół północnych wybrzeży Azji. Grupa kupców i poszukiwaczy przygód zorganizowała wyprawę na trzech statkach, które w dniu 10 maja 1553 roku wypłynęły z Londynu, zaopatrzone na listy polecające króla Edwarda VI i specjalne instrukcje słynnego żeglarsza Sebastiana Cabota. Dwa statki zostały przyparte lodami do bezludnego wybrzeża półwyspu Kola i tam załogi ich zginęły wskutek mrozów, głodu i szkorbutu (szczątki ich znaleźli znacznie później rosyjscy rybacy).

Trzeci statek, dowodzony przez kapitana Chanslera, dopłynął szczęśliwie do morza Białego, dopłynął kotwice w ujściu Dżminy Północnej. Kapitan Chansler zaproszony został do Moskwy, gdzie go przyjął bardzo serdecznie car Iwan IV. Latem roku następnego Chansler wrócił do Anglii — ze zgodą Iwana IV na nawiązanie wymiany towarowej między obu krajami. Tak więc na rok bieżący przypada okrągła, czterechsetna rocznica angielsko-rosyjskich stosunków handlowych...

W końcu XVI stulecia ruszyła na odszukanie szlaku północnego głośna wyprawa holendra Barentsa. Barents dopłynął do Nowej Ziemi i tam umarł na szkorbut. Niepowodzenie tej wyprawy ostudziło zapal zachodnio-europejskich podróżników do badania nieogrzanych polarnych mórz. W ciągu następnych trzech wieków szlak północny jest terenem licznych wypraw podróżników rosyjskich; największą rolę odegrała niewątpliwie „Wielka Ekspedycja Północna”, zaplanowana przez Piotra I, a kierowana przez Beringa. W latach 1725—1743 ekspedycja ta zbadała m. in. ponad 6 tysięcy kilometrów wybrzeży syberyjskich i sporządziła setki map.

Jako pierwszy przepłynął Północny Szlak Morski statek „Wega” znanego badacza Nilsa Nordenskjölda, w latach 1878—79. W przeciwieństwie do Nordenskjölda, który płynął

z zachodu na wschód, wyprawa Wilkického na statkach „Tajmyr” i „Wajgacz” przebyła w latach 1914-15 Północny Szlak Morski ze wschodu na zachód.

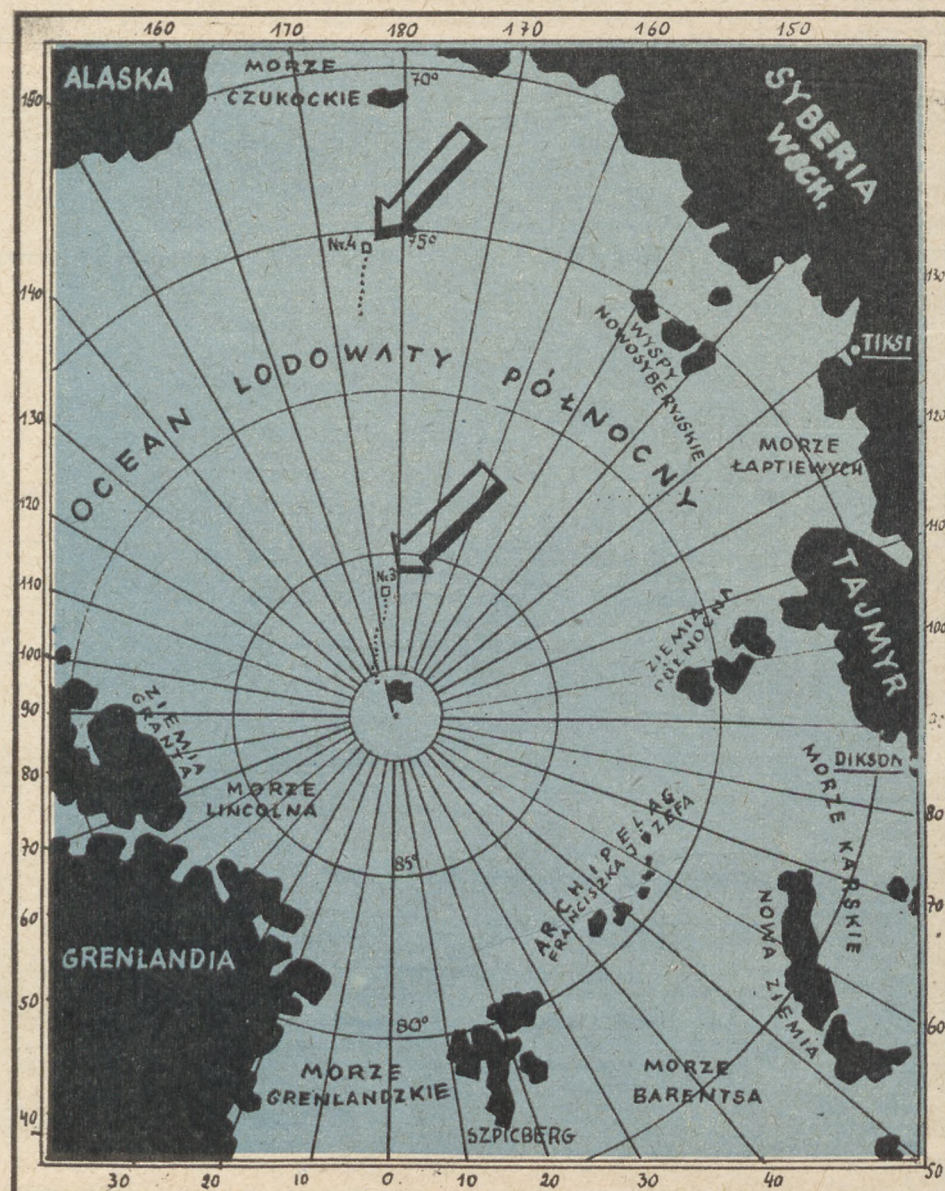
Jest rzeczą jasną, że praktyczne znaczenie mógł mieć Północny Szlak Morski dopiero wtedy, kiedy się uda przebyć go w ciągu jednego sezonu nawigacyjnego, bowiem dwuletnie podróże z koniecznością trudnego zimowiska wśród lodów wyłączały możliwość wykorzystania nowej drogi dla celów gospodarczych. To trudne zadanie rozwiązał dopiero w roku 1932 lodołamacz radziecki „Sybiriakow”, który przebył trasę od Archangielska do cieśniny Beringa w ciągu 65 dni. Następne wyprawy — statku „Czelus-

kin” (1933 r.) i lodołamacza „Litke” (1934 r.) wykazały ostatecznie przydatność Północnego Szlaku Morskiego dla komunikacji pasażerskiej i towarowej.

O 20.000 KIŁOMETRÓW BLIŻEJ

Dziś Północny Szlak Morski (nazwijmy go w skrócie PSM) posiada kolosalne znaczenie dla radzieckiej gospodarki i transportu. PSM zbliża europejskie porty Związku Radzieckiego do portów dalekowschodnich o wiele tysięcy kilometrów.

Mapka orientacyjna okolic bieguna północnego. Strzałkami oznaczono miejsca, gdzie wylądowały obie stacje, linią kropkowaną — dryf do dnia 15 lipca br.



Dryfująca stacja naukowo-badawcza „Biegun Północny-4”. Na zdjęciu: naczelnik stacji E. I. Tolstikow wciąga na maszt czerwoną flagę Związku Radzieckiego.

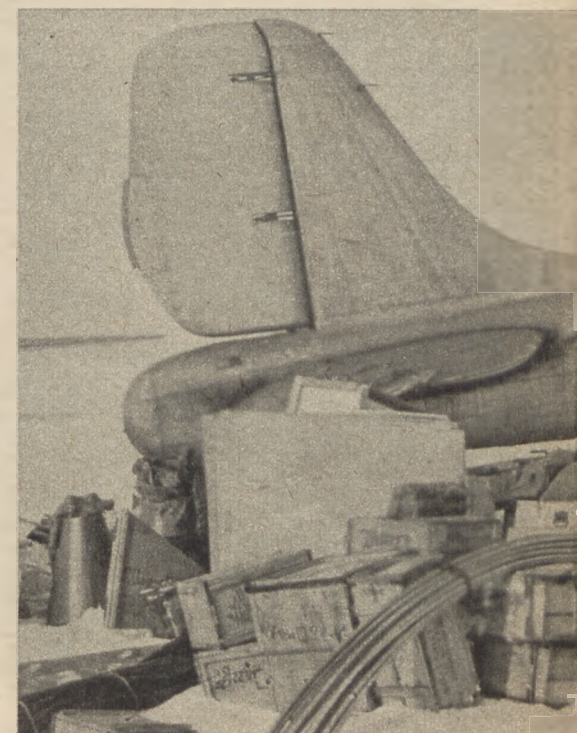
Weźmy dla przykładu dwa porty — Archangielsk w Europie i Władywostok w Azji. Statek, płynący z jednego z tych portów do drugiego wokół Ałryki (tak podróżowano jeszcze sto lat temu!) musiałby przebyć 31.500 kilometrów. Droga skrócona, przez kanał Sueski, wynosi 24.000 kilometrów. A przez PSM trasa wyniesie już tylko 11.200 kilometrów. Przeliczcie to teraz na zaoszczędzony węgiel, czy ropę — nie mówiąc o oszczędności czasu i dewiz.

Jest jeszcze druga, ważniejsza bodaj przyczyna, dla której ogromne znaczenie ma zbadanie i poznanie PSM. Chodzi mianowicie o zagospodarowanie Syberii Północnej — kraju bogatego w drewno i futra, węgiel i rudy metali, sole i surowce ceramiczne.

Naturalną sieć dróg Syberii stanowią rzeki — długie, szerokie, bogate w wodę. U ujścia większych rzek syberyjskich i w wygodnych zatokach powstały już porty: Nowyj Port w zatoce Obkiej, Dikson (w pobliżu wysepki tej samej nazwy) w zatoce Jenisejskiej, Dudinka i Igarka nad dolnym Jenisejem, Nordwik u ujścia rzeki Chatangi, Tiksi w delcie Leny.

Wszystkie te porty są połączone siecią rzek z ogromnym obszarem Syberii. Jeśli PSM połączy je w jeden system z wielkimi portami, takimi jak Murmańsk,

Na lotnisku lodowym stacji „Biegun Północny-4” wylądował kolejny samolot z zaopatrzeniem. Przywiózł on butle pro-



Archangielsk i Władywostok — możliwości szybkiego rozwoju gospodarczego Syberii Północnej wzrosną niepomierzenie. Cały ten — niedostatecznie jeszcze poznany, a kryjący w swoim wnętrzu niezliczone bogactwa kraj stanie się ważnym elementem w organizmie gospodarczym Związku Radzieckiego.

Eksploatacja PSM już trwa. Ciszę nizinnych brzegów tundry i białych pól lodowych coraz częściej narusza gwizd okrętowych syren. Ale trasa o długości wielu tysięcy kilometrów najeżona jest jeszcze niebezpieczeństwami, surowa Arktyka nieraz gotuje statkom przykre niespodzianki — mgły i burze śnieżne, wichury i natarcia pól lodowych, gwałtowne skoki temperatury i zdradliwe prądy.

Centralną Arktykę nazywają często „kuchnią pogody”. Ruchy powietrza, lodów i wody w rejonie bieguna mają wpływ na warunki atmosferyczne na wielkim obszarze północnej półkuli. Dlatego — aby móc określić na długo wcześniej pogodę i warunki nawigacji na PSM i wielu innych okolicach — należy możliwie dokładnie zbadać, co odbywa się w rzecznej „kuchni”.

I to jest właśnie głównym zadaniem stacji dryfujących „Biegun Północny — 3” i „Biegun Północny — 4”.

SIATKÓWKA NA BIEGUNIE

W zorganizowaniu tegorocznych stacji wykorzystano doświadczenia ubiegłych wypraw. A więc pierwsza rzecz — wybór pola lodowego, które dla stacji będzie równocześnie „ładem” i „okrętem”. W poszukiwaniach odpowiednich pól wzięli udział członkowie lotnicy arktyczni. Dla „Bieguna Północnego — 4” wybrano pole lodowe trzymetrowej grubości, o powierzchni siedmiu kilometrów kwadratowych. „Biegun Północny — 3” ulokowany został na nieco większym polu, ale o trochę mniejszej grubości.

Dla transportu obu stacji na lód zastosowano metodę częściowych przetrzutów. Wydzielone samoloty — dwumotorowe „IL-12”, „LI-2” i czteromotorowe „PE-8” — przeniosły załogi, sprzęt i zapasy najprzód do Archangielska, stąd na wyspę Dikson, a wreszcie, po przeczekaniu zawieruchy śnieżnej, na oba pola lodowe. Obie stacje dryfujące otrzymały dokładny adres: „Nr 3” — 86°00' szer. półn. i 175°45' dł. zach. „Nr 4” — 75°48' szer. półn. i 175°25' dł. zach.

Były to jednak adresy tymczasowe. Pola lodowe — a z nimi i ich „pasażerowie” — dryfują wolno w kierunku bieguna. Już 15 lipca stacja „Nr 3” zawędrowała za 88 stopień szerokości północnej, a „Nr 4” — za 77 stopień.

Na obu stacjach zaplanowano szczegółowy rozkład zajęć naukowych: dla hydrologów, geologów, meteorologów... Dobę podzielono na dzień i noc w sposób dosyć dowolny, bowiem od paru miesięcy słońce nie zachodzi tam ani na chwilę. Ale gdy zajdzie w końcu września — nie pokaże się znów przez pół roku... Obie ekspedycje obliczone są na co najmniej rok i przygotowane są do pracy w warunkach polarnej nocy.

panu i butanu do ogrzewania, części namiotów, kuchenkę gazową, owoce południowe, przybory naukowe, filmy...



Badaniem pól lodowych wokół obu stacji dryfujących zajmuje się „latający oddział”. Na zdjęciu — jeden z samolotów oddziału.

W czasie wolnym od zajęć pracownicy stacji dryfujących mają dość rozrywek. Biblioteka, kino, radio, pianino (pierwsze pianino pod biegunem!) — to jeszcze nie wszystko. Obecnie na przykład rozgrywany jest drogą radiową mecz szachowy między obiema stacjami. A niedawno na stacji „Biegun Północny — 4” rozpoczęto turniej siatkówki! Zazdrościmy z „Bieguna Północnego — 3” nie wytrzymali nerwowo i ogłosili przez radio, że w najbliższych dniach nastąpi na ich polu lodowym uroczyste otwarcie... boiska piłkarskiego.

Bywają i rozrywki nieoczekiwane: jeden z filmowców-amatorów stacji wystraszył aparatem filmowym białego niedźwiedzia, który nie pozwolił sfilmować się z bliska i uciekał co sił w łapach. Zartownisie wstawili natychmiast do programu kroniki filmowej tytuł: „Biały niedźwiedź od tyłu”...

W ogóle humor dopisuje załogom stacji. Na „Nr 4” łaźnię nazwano „Błękitne dno”, a na domku radiostacji przybito tabliczkę z nazwą „Czekaj na mnie” — jako że radiowcom nie zawsze udaje się uzyskać szybko połączenie.

Dopisuje i zdrowie. Lekarz stacji Nr 3, Witali Wołowicz, z braku pacjentów pomaga kucharzowi Szarikowowi, gra na pianinie, a nawet skomponował już pieśń „Pod stopami mamy dryfujący lód”.

OJCZYŻNA LODOWYCH GÓR

Praca naukowa na obu stacjach dopiero się rozkręca na dobre, a już można zanotować kilka interesujących spostrzeżeń i odkryć, dokonanych na „Biegunie — 3” i „Biegunie — 4”.

Ciekawe zjawisko zaobserwowali lotnicy. Otóż w niewielkiej odległości od bieguna, w miejscu, gdzie na wysokości 200 metrów termometr wskazywał —15° C, przy podniesieniu się na wysokość 600 metrów zaobserwowano temperaturę +7° C. W innym miejscu jeszcze na wysokości 1500 metrów temperatura wynosiła +5° C. W rejonie bieguna stwierdzono istnienie stałego centralnego cyklonu i jego wpływ na posuwanie się mas chłodnego powietrza w kierunku Syberii Zachodniej.

Badania lodów polarnych wykazały, że skład ich zmienia się stale: pola lodo-

we tają od powierzchni, a rosną od dołu — przez zamarzanie przytykających do lodu warstw wody. Znalezione miejsca, w których odrywają się od wieloletnich pól góry lodowe, oraz zbadano trasy tych gór w oceanie.

Naukowcom radzieckim udało się też określić rozmiary i położenie odkrytego niedawno podwodnego grzbietu, nazwanego grzbietem im. Lomonosowa. Stwierdzono, że grzbiet ten ciągnie się od okolic bieguna do brzegów Grenlandii. Odkryto także kilka innych grzbietów podwodnych, które dzielą czaszą Oceanu Lodowatego na kilka izolowanych wgłębień. Zebrano wiele materiałów o przenikaniu ciepłych prądów do Oceanu Lo-

dowatego. Na prawdziwą sensację naukową wygląda odkrycie, o którym jeden z naukowców pisze na łamach „Pravdy” w ten oto skromny sposób: „Uzyskano nowe dane o charakterze anomalii magnetycznej w rejonie przybiegunowym i stwierdzono jej pewne związki z położeniem podwodnego grzbietu im. Lomonosowa”.

Co piątek odbywają się na stacjach „Biegun Północny — 3” i „Biegun Północny — 4” konferencje naukowe. Osiem razy na dobę radio przekazuje na ląd wyniki pomiarów, analiz, obserwacji i badań. Obszar, zwany kiedyś „Krajiną białej śmierci” traci w szybkim tempie swój nimb tajemniczości i grozy.

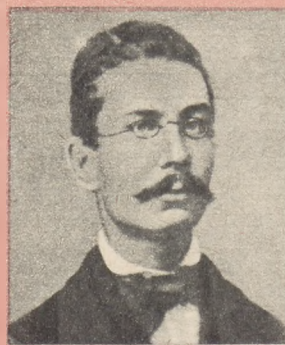
Kucharz stacji „Biegun Północny-3” I. M. Szarikow przed budynkiem klubowym. Przygotował właśnie wieczorną (w domyśle — bo słońce nie zachodzi) herbatę. Gdzie jak gdzie, ale na biegunie herbata z samowara smakuje chyba najlepiej...





Stoki Cytadeli, na których dnia 5 sierpnia 1864 r. zginął Romuald Traugutt

POWSTAŃCZY DYKTATOR



ROMUALD TRAUGUTT

Napisał: STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ

WKRACZAJĄCA w roku 1944 na ziemi polskiej Armia niosła na swoich sztandarach sławne imiona Tadeusza Kościuszki i Romualda Traugutta. Prócz „kościuszkowców” szli do walki z najeźdźcą „trauguttowcy”, gdyż w wolnościowych tradycjach narodu na zawsze już zapisał się obok „naczelnika w sukmanie” ostatni przywódca i dyktator powstania styczniowego, człowiek o żelaznym hartie, niezmordowanej pracowitości i wybitnym rozumie politycznym. Wielkie serce i wykształcony umysł dopomogły Trauguttowi w znalezieniu właściwej drogi: za jego to rządów powstanie wywodziło się z intrygi magnackiej i szlacheckiej, nawracając do przewodniej idei tych „czerwieńców”, którzy przygotowania do wybuchu rozpoczynali od sojuszu z rewolucjonistami innych narodów. Jednakże na jesieni roku 1863 było już za późno na przywrócenie powstaniu charakteru rewolucji ludowej. Traugutt nie zdążył już wywalczyć zwycięstwa dla zasad Sierakowskiego i Dąbrowskiego; wraz ze śmiercią ostatniego dyktatora powstanie otrzymało cios śmiertelny. Mimo to stał się on dla narodu symbolem niezłomnej woli zwycięstwa w oparciu o wyzwoleny z poddaństwa i ucisku lud wiejski.

Pochodzenie, wychowanie i lata młodzieńcze Traugutta nie zapowiadały, że kiedyś skupi się w jego rękach cała rewolucyjna władza walczącego narodu. Urodził się w r. 1829 pod Brześciem, należał do sfery ziemiańskiej, a w świersławskim gimnazjum napotkał wielu chłopców, którzy — podobnie jak on sam — zamierzali wstąpić do rosyjskich szkół wojskowych. Piętnastoletni Romuald Traugutt postanowił dostać się do szkoły inżynierów wojskowych w Petersburgu i w tym celu zamieszkał w konwikcie Stiepanowa, jednego z wykładowców tej szkoły, gdzie przygotowywał się do egzaminów wstępnych.

O młodziutkim maturzyście zachowały się wspomnienia, że był spokojny, jakby nieśmiały, zamknięty w sobie i raczej na wszystko obojętny. Nie uzyskawszy wstępu do szkoły, zaciągnął się jako junkier do trzeciego batalionu saperów, który stał wówczas załogą w Zelechowie na Podlasiu. Pracowity i wzorowy w pełnieniu obowiązków szybko dosłużył się stopnia oficerskiego i dalszych awansów, czemu sprzyjała kampania węgierska w roku 1849, a następnie wojna rosyjsko-turecka w latach 1853—54. Zamknięty w sobie oficer, przeżywał w czasach pokoju odludkiem i niesatysfakcją, zbierał podczas wojny pochwały i odznaczenia.

W roku 1854 zaliczono porucznika Traugutta do sztabu armii Południowej, a w roku następnym uczestniczył on wraz ze sztabem tej armii w kampanii krymskiej, zamknięty w murach oblężonego przez sprzymierzonych Sewastopola. Historyk powstania styczniowego, carski publicysta Mikołaj Berg, który zebrał mnóstwo informacji źródłowych o ludziach i o przebiegu powstania, tak charakteryzuje młodego wówczas Traugutta:

„Owczesna postać Traugutta niczym się nie wyróżniała i nie zwracała na siebie uwagi; twarz wąska, wydłużona, z wydatnymi ustami; oczy zasłonięte okularami; włosy czarne, szczecinowate, zawsze krótko przystryżone; wąsy zaledwie się wysypujące. Całość jakby jakaś zwiędła, wpośsenna, wcale nie obiecująca. Patrząc na niego, nie można było przypuszczać, że to przyszły niezmordowany, energiczny bojownik za sprawę polską; że to przyszły, pełen niesłychanego, bohaterstwa poświęcenia powstańczy dyktator Polski”.

Oddając Trauguttowi tak niezwykle u carskiego publicysty hołd, Berg dodaje, że podczas oblężenia Sewastopola Traugutt, jako starszy adiutant w skarbowym wydziale sztabu armii, odznaczał się niezwykle spokojem. Powodzenia, czy to rosyjskie, czy to sprzymierzonych — wcale go nie obchodziły. Podczas gdy inni, nader liczni, Polacy w sztabie i załodze twierdzy sewastopolskiej nie umieli ukryć swojej radości na wieść o niepowodzeniach armii carskiej, a smutku i irytacji, kiedy orężowi rosyjskiemu się wiodło, Traugutt pozostawał zawsze jednaki — skupiony w sobie, ani uśmiechnięty, ani też zaseponiony, żadnym gestem nie zdradzając swoich myśli. Toteż ironiczne przezwisko, jakie otrzymali wówczas Polacy — że są „termometrami” tej wojny — nie dotyczyło się młodego oficera. „Nikt z kolegów, czy to Polaków, czy to Rosjan, nie podejrzewał nawet, ażeby Traugutt mógł być zdolnym do jakiegokolwiek silnego lub namiętnego uczucia” — notuje zdziwiony Berg. „Większość nie domyślała się w

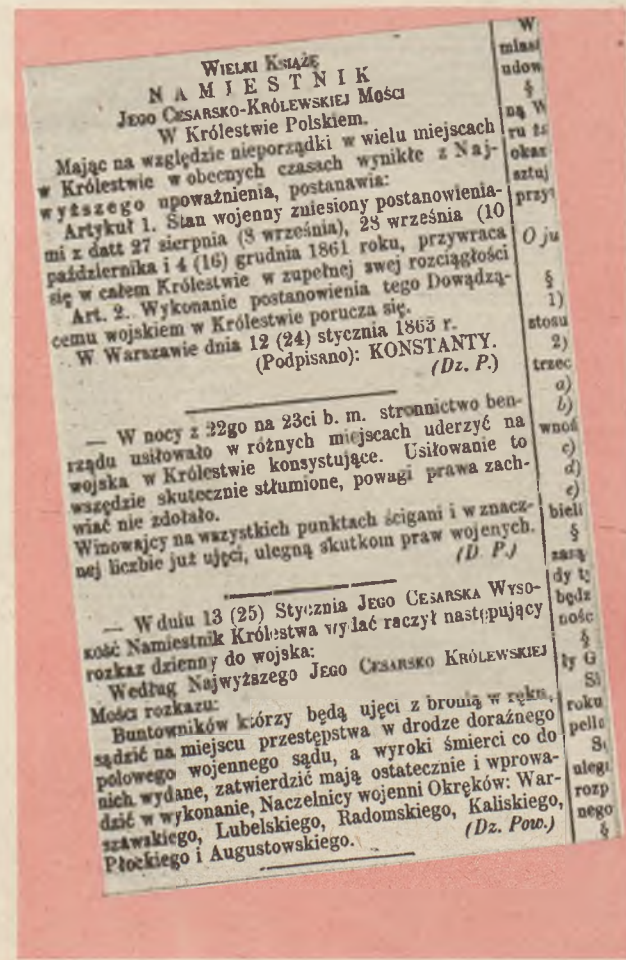
nim nawet zdolności i rozumu, tak wszystko u niego było zamknięte, utajone i zapieczętowane na siedem Salomonowych pieczęci. Cała jego postać wyglądała jak to szare, zamglone niebo, nie zapowiadające ani deszczu, ani pogody...”

Dziwiono się tylko niekiedy, że Traugutt, o ile mu na to pozwalał czas, wertuje akta innych wydziałów sztabu armii, szczególnie wydziałów gospodarczego i szpitalnego, choć to nie miało nic wspólnego z jego obowiązkami. Wiedzano także, iż zamykając się w swoim namiocie dziwaczny samotnik bez przerwy coś studiując, zazwyczaj wskazując biblię jako rzekomy czy też istotny przedmiot swoich studiów. Ponieważ większość oficerów starannie unikała wszelkiej pracy nadobowiazkowej, więc takie zachowanie się Traugutta nieraz wywoływało ironiczne komentarze...

Po zawarciu pokoju sztab armii Południowej przeniesiono do Charkowa dla dokończenia różnych zaległych spraw i rachunków. Traugutt został wtedy płatnikiem armii. Po jej rozwiązaniu w roku 1858 przeniesiono go do Petersburga do tak zwanej „galwanicznej komandy”. Pracował tu bez przerwy w bibliotekach oraz uczęszczał na wykłady fizyki i chemii. „Można powiedzieć — jednej chwili nie miał niezajętej” — stwierdza Berg. W latach demonstracji przedpowstańczych (1860—62) mieszkał już w swojej małej majątności Ostrów w powiecie kobryńskim, jako emerytowany pułkownik. Ożenił się tam z panną Kościuszkówną, wnuczką z bocznej linii sławnego wodza.

I tu również zachowywał całkowity spokój, nie biorąc udziału w burzliwych naradach szlachty i nie należąc do żadnej z konspiracji przedpowstańczych. Jednakże Władysław Mickiewicz, który w tym właśnie okresie odwiedził swojego stryja Aleksandra Mickiewicza w majątku Gubernia pod Kobryniem, wspomina o wybudowanej w ogrodzie prochowni, której zawartość Aleksander Mickiewicz przekazał po wybuchu powstania właśnie Trauguttowi... Bo, niespodziewanie dla ogółu,

Władze carskie wobec powstania — wycinek z prasy warszawskiej ze stycznia 1863



milczący pułkownik Romuald Traugutt stanął na czele oddziału i dnia 17 maja 1863 roku pobił pod Horkami carskiego kapitana Kiersnowskiego...

„Powstania nie doradzałem nikomu” — zeznał w rok później przed komisją śledczą Traugutt. Ponieważ znany był z lapidarnej prawdomówności, więc słowa te tylko potwierdzają fakt, że istotnie do spisku nie należał. Jednakże — gdy wszystko co dzielniejsze i najbardziej patriotyczne chwyciło za broń — czyż mógł zachować nadal swoją zwykłą obojętną postawę? Przecież, tym razem, nie chodziło o buńczuczne wypowiedzi i o jałowe demonstracje — nadszedł czas działania. W zmieniających kolejach partyzantki dawny płatnik okazał się dowódcą bystrym i zdecydowanym na wszystko. Dyscyplinę wprowadził surową — szczególnie wobec krnąbrnych dowódców. Oficera Kwiatkowego zastrzelił za niewykonanie rozkazu i harde stawienie się. Pośród szeregowych cieszył się za to wielkim mirem i miłością — pokochali go od pierwszej chwili, kiedy zjawił się na leśnej polanie i energicznie do nich przemówił. Marian Dubiecki, przyjaciel i biograf Traugutta, wspomina:

„Traugutt w swoich przemówieniach publicznych, których zaledwie kilka słyszano, wywierał wielkie wrażenie, ani głos, ani postawa nie wskazywały mówcy, lecz prawda, tryskająca z każdego słowa, prawdziwe uczucie, stanowczość, logika niczym nieprzerparta czyniły zawsze silne wrażenie...”

Płynność oddziałów partyzanckich, liczne braki organizacyjne i widoczny na każdym kroku chaos w kierownictwie ruchem musiały zastanowić wówczas wykształcony i nawiązywał do dyscypliny umysł Traugutta. Toteż, kiedy zachorował i wypadło mu przekazać innym dowództwo nad kilkoma już połączonymi „partiami”, pułkownik wybrał się do ośrodka władz powstańczych, do Warszawy. Oddał się tu pilnemu studiowaniu biegu prac w Wydziale Wojny. „Zauważyłem, że po lasach Polesia może chodzić kto inny” wspominał później o tej swojej decyzji, która zaważyła tak silnie na losach jego i kraju.

Mianowany przez tajny Rząd Narodowy generałem i nadzwyczajnym komisarzem wyjechał Traugutt do Galicji i dalej, na zachód, z misją wzmożenia wojennego i dyplomatycznego wysiłku zagranicznych agentur Rządu Narodowego. Tak więc przyszły dyktator mógł po kolei zlustrować wiele krajowych i zagranicznych placówek, dostarczających powstaniu broni i środków pieniężnych, a także porozumieć się z wieloma dowódcami, szukającymi chwilowego schronienia w Galicji. Prócz tego konferował w Paryżu z księciem Napoleonem Hieronimem Bonaparte, synowcem cesarza Napoleona III, oraz z ministrem spraw zagranicznych Francji. Jest rzeczą pewną, że skrupulatnie gromadząc wszelkie potrzebne mu wiadomości, zetknął się ze wszystkimi osobistościami polskimi, które przeżywały na emigracji. Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski) tak opowiada o paryskim spotkaniu z Trauguttem:

„Spędziliśmy ze sobą godzin kilka... Mówiliśmy o powstaniu, o szansach tej walki bezbronnej i bezpiecznej z naszej strony, najwięcej atoli o politycznych 'na' wschodzie stosunkach... O ich ze sprawą polską związku... Zapytania i uwagi jego uderzały mnie trafnością, świadczącą o rozległym wykształceniu umysłowym. Dziś poznaję, że się on u mnie informował; wówczas nie domyślałem się roli, jaką następnie odegrał... Bo też brałem Traugutta za rodzaj oficera na urlopie, bawiącego się za granicą w turystę, zbierającego wiadomości dla zbagacenia umysłu. Zrobił on na mnie wrażenie dobre, jakie robi osobnik wyższe zdradzający wykształcenie...”

Trzeba tu nadmienić, że emigracja bynajmniej nie stanowiła zgranej całości politycznej. Na kraj i na zmieniające się ustawicznie składy Rządu Narodowego oddziaływali z zagranicy i arystokraci-monarchiści, i „biali” politycy o szlacheckiej orientacji, i warcholący stronnicy dyktatury Mierosławskiego, powiązani

Dalszy ciąg na str. 18



O. Chorkowa (Liza) i N. Afanasjew (Molczalin) w „Mądremu biada”. sztuce, granej przez Teatr Mały od ponad stu lat...



Monachową w „Barbarzyńcach” M. Gorkiego kreuje znakomita aktorka Gogolewa, laureatka Nagrody Stalinowskiej

WIELKA SZTUKA TEATRU MAŁEGO

„TEATR MAŁY jest skarbnicą najlepszych tradycji teatralnych i kontynuatorem wielkiego dzieła stworzenia narodowej sztuki dramatycznej” — napisał przeszło pół wieku temu Maksym Gorki.

Taką skarbnicą tradycji mógł stać się teatr, który istnieje już 130 lat, w którym „Mądremu biada” Gribojedowa, „Kewizor” Gogola, „Maskarada” Lermontowa czy „Las” Ostrowskiego — grane były jako... sztuki współczesne!

Niemal sto lat Teatr Mały nazywał się „imperatorskim”, ale pod szyldem tej urzędowej nazwy działacze i aktorzy teatru przemycali na scenę wiele postępowych, wolnościowych myśli. Po długiej batalii z cenzurą carską udało się Teatrowi wystawić oskarżycielskie dzieło Gribojedowa. Inaczej niż w stołecznym Petersburgu wystawił Teatr Mały „Kewizora” — tak, że nawet sam Gogol był niemal przerażony śmiałością swojej demaskatorskiej komedii. W roku 1876, podczas przedstawienia „Owczego źródła” Lope de Vegi, po raz pierwszy chyba w Rosji zabrzmiało ze sceny wezwanie do walki z tyranią — w obronie wolności. Nic zatem dziwnego, że przyjaciółmi „Teatru Małego” byli Bieliński i Hercen, Dobrolubow i Czernyszewski, Stanisławski i Gorki.

Ciężki okres przeżył Teatr po rewolucji 1905 roku, kiedy cenzura nie wpuszczała na scenę wartościowych sztuk, kiedy ton życia

teatralnemu Moskwy nadawały dekadentkie koła artystyczne i zblazowana burżuazyjna publiczność.

Nowe perspektywy stworzył przed teatrem Październik. Na widowni pojawił się widz „wzruszony, serdeczny, bliski” — jak pisała wielka aktorka Massalitinowa. Zespół wkroczył na drogę nowych poszukiwań twórczych, uwiecznionych wspaniałym, historycznym już dziś sukcesem, jakim było wystawienie w roku 1926 sztuki Treniewa „Lubow Jarowaja”. Teatr, który nie zawsze osiągał dwadzieścia przedstawień jednej sztuki, wystawił „Lubow” osiemdziesiąt dwa razy w ciągu jednego sezonu. „Oznacza to, że teatr wstąpił w nowy okres swego rozwoju” — pisał o tym na łamach „Izwestii” Michał Kałinin.

Ten nowy okres rozwoju trwa do dziś. Obok klasyki rosyjskiej, dzieł Szekspira, Moliera, de Vegi czy Shawa — Teatr Mały sięga śmiało po współczesny repertuar radziecki, osiągając duże sukcesy w wystawieniu takich sztuk, jak „Front” Korniejczuka, „Najazd” Leonowa czy „Moskiewski charakter” Sofronowa.

Występy znakomitego Teatru w Polsce pozwalają zarówno naszym aktorom i reżyserom, jak i wszystkim miłośnikom sceny poznać dorobek jednego z nie tylko najstarszych, ale i najlepszych teatrów Europy.

(E. K.)



Scena z II aktu sztuki Aleksandra Ostrowskiego „Intratna posada”. W roli Kukuszki — artystka ludowa RSFRR, Szatrowa, w roli Jusowa — Igor Iljinski

Z szóstej odsłony współczesnej sztuki Mikołaja Pogodina „Gdy kruszą się kopie”. E. Matwiejew w roli Czebakowa i Igor Iljinski jako Kartawin



Niezapomnianą sylwetkę Prochora Chrapowa w sztuce Maksyma Gorkiego „Wassa Żeleznowa” stworzył znakomity aktor M. Żarow, artysta ludowy ZSRR



Gawędy starego komeďianta

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

PIERWSZY MÓJ „WYSTĘPEK”

Rysował: JERZY ZARUBA

BĘDĄC w piątej klasie czwartego męskiego gimnazjum w Warszawie i posiadając niezłomne przekonanie, że przez samą matkę naturę jestem predysponowany na znakomitego aktora — jedynie dla świętego spokoju mojej matki usiłowałem (nie bez trudu zresztą) dać się przepychać corocznie (oczywiście co najmniej z kilkoma poprawkami) z klasy do klasy. Wśród licznych moich znajomych miałem szereg aspirantów do tego samego zawodu, którzy, będąc o kilka lat ode mnie starsi, już uczęszczali do dość zresztą lichej szkoły dramatycznej przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym...

W owym okresie (bez mała jeszcze okresie Bolesława Prusa) jeździły na letnie miesiące do Warszawy co ciekawsze zespoły teatrów prowincjonalnych i w tzw. „ogródkach” w kilku punktach śródmieścia dawały swoje przedstawienia...

Tzw. „gilda aktorska” mieściła się w owym czasie w cukierni Bliklego na Nowym Świecie. W czerwcu, tj. w okresie, kiedy rozpoczynała się akcja „ogródkowa” i prowincjonalni dyrektorzy teatrów formowali i dopełniali swoje zespoły, Blikle od rana do późnego wieczora wypełniony był po brzegi wyłącznie samym prawie aktorstwem. Nie potrzebuję chyba zaznaczać, że i ja jako przyszły sławny artysta wszystkie wolne chwile spędzałem przy stoliku w gronie moich kolegów, już wtedy kandydatów na zawodowych pracowników sceny.

Rok szkolny i egzaminy przejściowe skończyły się dwudziestego drugiego czerwca, przy czym niżej podpisany po ciężkiej i mozolnej walce z przeciwnościami uzyskał promocję do klasy VI, niestety z dwiema piśmiennymi poprawkami po wakacjach z algebry i geometrii. Jako t.zw. zdolny leniuch specjalnie nie miałem serca do matematyki, a że termin poprawek przypadał dopiero na dzień dwudziestego trzeciego sierpnia, mając więc w perspektywie długie dwa miesiące *dolce far niente* postanowiłem, przebrawszy się oczywiście z punktu po cywilnemu, oddawać się wyłącznie i jedynie rozkoszom przyszłego życia wielkiego artysty teatru. Nazajutrz zaraz od dziesiątej rano dyżurowałem przy stoliku u Bliklego w błogim oczekiwaniu, aż wielcy wtajemniczeni, wszechwładni dyrektorowie zgłoszą się na targowisko celem wyboru i zakupu żywego towaru. Tym razem siedziałem tyłem do drzwi wejściowych, frontem zaś do wystawowego okna wychodzącego na Nowy Świat. Przy tym samym stoliku siedziało jeszcze trzech moich kolegów, którzy właśnie przed tygodniem ukończyli studia w szkole dramatycznej przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym. Wszyscy trzej, jak przystało na prawdziwych amatorów, mieli na nogach własne bądź też pożyczane lakierki, poza tym czystutki kołnierze i mankiety, solidnie wyskrobane gęby i wytworne pierniczkowe rękawiczki. W cukierni wrzało co najmniej jak w ulu w okresie wybierania królowej. Po długim oczekiwaniu w drzwiach ukazał się dyrektor teatru łódzkiego, Michał Wołowski, i najbardziej uroczysto zaczął oglądać i taksować zgromadzony towar. Co chwila oko jego zatrzymywało się na jakimś ciekawszym obiekcie, po czym szeptał coś do ucha

swojemu sekretarzowi, który najdemokratyczniejszym kiwnięciem paluszka przywoływał do dyrektorskiego majestatu szczęśliwą wybrankę lub wybranka.

W ciągu godziny odbyły się trzy czy cztery tego rodzaju transakcje, przy czym serca moich sąsiadów przy stoliku były coraz gwałtowniej, a moje w poczuciu koleżeństwa i zawodowej solidarności postanowiło im wtórować. W pewnej chwili oczy dyrektora i sekretarski paluszek zatrzymały się obiecująco na naszym stoliku. Kolejno wszyscy trzej moi sąsiedzi podrywali się z krzeseł, ale w tejże chwili z uczuciem klęski lokowali się z powrotem na krzesłach pod wpływem złowróżbnego, a bardzo wytwornego gestu sekretarskiej ręki zdającego się mówić: „Ależ nie, nie pan, skądże znowu!” Po trzech identycznych tragikomicznych momentach nastąpiło czwarte kiwnięcie palcem sekretarza, wobec czego wszyscy trzej zdruzgotani losem moi sąsiedzi zwrócili się do mnie z pełnymi żalu i nietajonej zawiści słowami: „No, jazda, idźże! Ciebie najwyraźniej wola!”

Gdyby mój talent pisarski urosł do dziesiątej potęgi, to i wtedy nawet nie potrafiłbym opisać, co się działo w oszalałej mojej duszyczce. Zerwałem się jak z procy, przewracając tacę i wylewając dwie „czarne” na pierniczkowe rękawiczki i lakierowane pantofle kolegi S. i potracając trzy koleżanki (oczywiście przyszłe koleżanki) i dwa krzesła czerwony jak burak znalazłem się wobec samego pana dyrektora. W piętnaście minut potem kładłem cenny swój podpis na blankiecie kontraktowym, opiewającym, że od pierwszego lipca do pierwszego września br. jestem zatrudniony w charakterze aktora w teatrze łódzkim, grającym pod dyktando Michała Wołowskiego w *ad hoc* przerebobionym gmachu cyrkowym na ul. Ordynackiej i za swoją pracę otrzymywać będę 40 rubli miesięcznie, płatne w dwóch półmiesięcznych ratach. Podpisałem się z nieprawdopodobnie zamasytym ogonem, wytwornie szurnałem nogami i pełnym majestatu i olimpijskiej dumy krokiem wróciłem do mego stolika, powitany ponurymi spojrzeniami trzech moich straconych „przegranych” przyjaciół.

A kiedy wyszedłem na ulicę i owionął mnie przedwieczorny zefirek — stanęło przede mną straszliwe pytanie: „No, a co teraz?!” Dwa problemy: matka i gimnazjum...

Idąc do domu ułożyłem następującą tragifarsę. Za dwa dni miałem wyjeżdżać, oczywiście z matką, na okres dwumiesięcznych wakacji do Klukówka, majątku leżącego na pograniczu między łódzińską a grodzieńską gubernią, a dzierżawionego przez dalekich kuzynów mojej matki, panów B., u których od przyjazdu do Warszawy stałe spędza-

liśmy wakacje, tudzież ferie świąteczne. Litościwy los sprawił, że wśród moich kolegów piątklasistów znalazł się jeden, jeszcze większy tępak w dziedzinie matematyki, mający tak jak ja dwie powakacyjne poprawki. Przyszedłszy do domu miałem już misternie ułożony plan działania tudzież całkowicie opracowany tekst z załącznikami i argumentami popierającymi moją tezę i z pełnym spokojem (tu znowu, widziałem przejaw dyspozycji aktorskich) wyrecytowałem pocziwej maceczce następującą anegdotę: „Wyobraz sobie droga mamu, że jeden z najbliższych moich przyjaciół i kolegów w klasie, Ryszard W., mający tak jak ja dwie poprawki z tych samych przedmiotów, zaproponował mi poprzez swoich rodziców, abym przez miesiąc pozostał w Warszawie i zamieszkał w ich domu, ofiarując cały czas na wspólne przygotowanie się do oczekujących nas poprawek. Idzie tylko o twoją aprobatę, a po miesiącu przyjadę na tęszkę wakacji do ciebie, do Klukówka”. Pomysł mojego kłamstwa był przekonujący logicznie, prosty i nie pozbawiony nawet pewnych rysów szlachetnego altruizmu. Łatwowiejsze matczyńskie i tym razem bez cienia podejrzenia zaakceptowało mój genialny, szekspirowsko-ibsenowski projekt i w dwa dni potem wyjechało solo do Klukówka, pozostawiając mnie rzekomo u państwa W., trawiającego dnie i kawałki nocy nad zawiłymi, a całkowicie obcymi mi równaniami algebraicznymi i geometrycznymi formułami...

Teatr łódzki rozpoczął swą gościnę w stolicy szekspirowską sztuką pt. „Komedii omyłek”, w której otrzymałem do zreferowania malutki epizodzik w końcowej scenie ostatniego aktu. Miałem odtworzyć postać kilkunastoletniego wyrostka — sługi tchórzliwego i przyglupawego. I wieki, i cechy umysłu i charakteru odpowiadały warunkom roli, tekst zaś obejmował zaledwie osiem wierszy, które należało wyrecytować przed moją panią w stanie szczytowego przerażenia w obliczu katastrofy. Po szeregu prób, na których radziłem sobie jako tako, przyszedł dzień premiery — wielki, epokowy dzień w życiu przyszłego artysty — pierwszy „występek” na prawdziwej scenie, pośród prawdziwych zawodowych aktorów, w prawdziwej szekspirowskiej komedii. Wrażenia tego wiekopomnego dnia z całą drobiazgowością utkwiły w mojej pamięci tak niezatarte mocno, tak ściśle i tak głęboko, że gdybym miał przeżyć drugie siedemdziesiąt siedem lat — szczegóły tego dnia żywe i nienaruszone zeszyłyby ze mną do grobu.

Widowisko rozpoczynało się o godz. 8 wieczorem, ponieważ zaś występowałem w ostatniej scenie ostatniego aktu — mój więc debiut miał się odbyć tuż przed godz. 10. Tego dnia nie jadłem, ani śniadania, ani obiadu i od momentu obudzenia się ustawicznie myślowo powtarza-

„Pan stróż”



U Bliklego

łem swój ośmiowierszowy tekst z dziwnym, złowróżbnym przecuciem, że: primo, spóźnię się na spektakl; secundo: przewrócę się wbiegając na scenę i tertio: w tłumie zebranych w tym momencie na scenie aktorów i statystów nie potrafię odnaleźć mojej pani, przed którą mam tekst swój wykrzyknąć. Te trzy przeczuwane katastrofy opętały całkowicie moją świadomość i stały się formalną ideą-fixe.

O godzinie 5 i pół znalazłem się na ulicy Ordynackiej przed gmachem cyrku, niestety szczelnie zamkniętego, i nerwowym krokiem, jak rekrut-szydłwach, odmierzałem kilkunastometrową przestrzeń chodnika, spacerując coraz szybszym krokiem tam i na powrót. A brama, stanowiąca wejście za kulisy, wciąż była na głucho zamknięta. No, więc pierwsze przecucie już stało się tragiczną rzeczywistością. Najwyraźniej jestem spóźniony! W pewnym szczęśliwym momencie, kiedy już nie chodziłem, ale formalnie biegałem po Ordynackiej, zamordowując spotykanych przechodniów pytaniem: „Psze pana, która to godzina?!” — brama mojego sezamu otworzyła się, ukazując wyłaniającą się z niej postać dozorcę (czytaj „pana stróża”) z konewką, służącą do polewania ulicy. Momentalnie, rekordowym tempem Złotopką przebiegłem na przeciwny chodnik i zatrzymałem się przed rozwartymi wrotami do mojego szczęścia, udając, że czytam naklejony na ścianie afisz i wykorzystawszy moment, w którym pan stróż, odwrócony do mnie tyłem, rozpuścił akcję skrapiania jezdni idąc w stronę Nowego Świata, niepostrzeżony przez nikogo błyskawicznie wśliznąłem się poprzez bramę na podwóreczko i misternie ukryłem się w arcy zresztą niewygodnej, kucającej pozie w cisnej szeregach między dwoma nienajwytworniej woniejącymi śmietnikami...

Nie umiem powiedzieć, ile godzin „przekuciałem” w błogim ukryciu wonnego śmietnika — faktem jest, że gdy byłem już bliski omdlenia i w rozpacz raczej zdecydowany na wyrzeczenie się kariery teatralnej, spostrzegłem drepającego przez podwóreczko i zdążającego do garderoby pocziwego, starego naszego krawca teatralnego, z którym już w czasie prób zdążyłem nie tylko poznać się, ale nawet zadzierać węzły niemal przyjaźni, co przyszło mi tym łatwiej, że starowina otaczał żywą sympatią młodzież teatralną i zawsze stawał po jej stronie w obronie przed złośliwymi figlami, jakimi starzy aktorzy lubili udrećzać neofitów, każąc im w ten sposób ku uciesze całego zespołu opłacać frycowe. Na razie więc byłem uratowany i wraz z krawcem, panem S., wkroczyłem do garderoby...

W garderobie oprócz nas dwóch nie było jeszcze nikogo i podczas gdy pocziwy pan S. zajął się rozwiązaniem i sortowaniem kostiumów — zwróciłem się do niego z gorącą prośbą, aby chciał mnie, nowicjuszowi, całkowicie nie obeznanemu z kostiumologią, łaskawie wskazać, co mam w tej dziedzinie uczynić, aby się przeistoczyć w głupawego, wystraszonego pacholka z odległej epoki Homera, którego fragmenty z „Iliady” i „Odysei” mogłem każdej chwili recytować na pamięć. Pan S. dobrotliwie pouczył mnie, że muszę zdjąć ze siebie nie tylko ubranie i obuwie, ale wszystkie części bielizny tak, aby w stroju „adamowym”, w najdosłowniejszym tego wyrazu znaczeniu móc włożyć cieliste trykoty, które oczywiście najszczelniej musiałby przylegać do mego grzesznego,

acz młodzieńczego ciała, sandały, krótkie kąpielowe spodnie (gwoździ moralności) i grecką dekolowaną koszulkę z krótkimi rękawami. Łapczywie chłonałem te bezcenne instrukcje i tu przed moimi przerażonymi oczyma wyłoniły się dwie nowe hydry - przecucia. Oczywiście, opadną ze mnie na scenie trykoty i zsuną się opasujące łydki rzemienie od sandałów. A więc groza, która przed chwilą zdawała się już sfolgować, spotęgowała się jeszcze, tworząc pewność nie trzech, jak przed dwiema godzinami, ale już całych pięciu nieodwołalnych kompromitacji.

Chcąc się bronić przed przeznaczeniem i w każdym razie nie mieć sobie nic do wyrzucania — prawie ze łzami w oczach ubłagałem kochanego pana S., ażeby rzemieenny pasek, którym na brzuszku opasał mi trykoty, chciał zacisnąć tak mocno, aby żadna siła nigdy już nie potrafiła go odpiąć; to samo należało zrobić z rzemykami od sandałów — trzeba było je tak mocno zacisnąć, aby w żadnym razie nie mogły się rozluźnić...

Dobroliwi pan S., pomagając sobie kolanem, zacisnął rzemieenny pas z całej mocy i zapiął go na ostatnią najdalszą dziurkę, a ja niegodny sługa Melpomeny po raz ostatni zaczerpnąłem powietrza na długie, brzemienne w skutki godziny. Mniej więcej to samo działo się z rzemykami od sandałów. Kiedy pan S. ostatecznie je naciągnął i zawiązał na moich łydkach — mogłem, uniósłszy się z taboretu, pozostawać jedynie w pozycji kownika polnego ze stale zgietym i podanymi naprzód kolanami. To były dwa pierwsze ofiarne harace, które młody adept składał na ołtarzu żarłocznej i bezwzględnej bogini.

Rozpoczęło właśnie ostatni akt, w którego końcowej scenie miałem doprowadzić przekonanie niecierpliwie wyczekujących na moje pojawienie się na scenie widzów — jak wielki talent będą mieli szczęście własnoocześnie oglądać i własnoręcznie okłaskiwać. Na wpół czołgając się wciąż na najniewygodniej zgietych kolanach, udałem się za kulisy i stanąłem w rogu na scenie przed drzwiami, którymi właśnie miałem wbiec i dokonać jednego z najbardziej znamiennych w moim życiu faktów: miałem zagrać oszalełego ze strachu, pełnego najwyższej paniki prymitywnego, głupawego pacholka. Inspicjent (tak się nazywa osobnik wpuszczający na scenę aktorów i wykonywający wszelkie działania zakulisowe) położył ciężką łapę na moim ramieniu i szepnął złowroźnie: „Uwaga!“ W tym momencie wszystko dokoła mnie przestało istnieć. Nie widziałem i nie słyszałem nikogo i nic. Zapomniałem pierwszych słów tekstu, nie wiedziałem, do kogo mam się z nim zwrócić i jedna tylko myśl rozświetliła mroki, zalegające moją mózgowicę: „Mamusiu, czemu nie jestem w tej chwili z tobą w Klukówku?!“ Z najwyższym trudem uniosłem prawą nogę i postawiłem ją na schodku. I w tym właśnie decydującym momencie skutkiem naprężenia mięśni mojej łydki — rzemyki od sandała nie wytrzymały i zwolna zaczęły onadać na schodek. Sztylety wszystkich morderców świata wrażyły się w moje na cały głos bijące serce. Bo nie tylko przepowiadana katastrofa realnie nastąpiła, ale nie mogła w żadnym razie

nie pociągnąć za sobą całego łańcucha wypływających z niej nieszczęść: nie mogę oczywiście nie upaść, nie mogę nie zaplątać się w zwisające rzemyki, nie mogę nie zagubić się w tłumie zaludniających scenę postaci i nie mogę odnaleźć osoby, przed którą mam obowiązki wykrzyczeć swoje przerażenie. A więc jestem zgubiony z kretesem...

O tym, co się działo w ciągu najbliższych pięciu minut, dowiedziałem się jedynie ze szczegółowych relacji naocznych świadków mojego fiaska. W jaki sposób zdołano mnie odpasać, zdjąć sandały, których twarde rzemyki, przebiegające między pierwszymi i drugimi palcami obydwu stóp, dosłownie werzęły się w ciało i boleśnie raniły, kto i jakim rodzajem lokomocji dostarczył mnie do domu, rozebrał i ułożył, napoiwszy przedtem całą masą waleriany, bromu i innych kropel laurów — wszystko to pozostanie najgłębszą tajemnicą, nad którą przyszli moi biografowie, wspierani hipotezami naukowców (psychologów i psychiatrów), będą sobie przez szereg długich lat utrudzali swoje mózgownice.

Pełen rozpacz w przeświadczeniu o sromotnie poniesionej klęsce, zmęczony i osłabiony zwlokłem się z łózka dopiero po południu. Nie bez trudu uporawszy się z toaletą, w stanie całkowitej duchowej depresji udałem się na miasto. Na rogu Nowego Świata nabyłem wieczorne wydanie „Kuriera Warszawskiego“ i wtulony w zagłębienie bramy z najwyższym niepokojem przebiegałem szpały gazety w poszukiwaniu recenzji teatralnej, opisującej wczorajszy mój skandal. Jakoż w oko moje wpadł nagłówek: Otwarcie sezonu, „Komedia omyłek“ Szekspira, teatr łódzki pod dyrekcją M. Wołowskiego. Celowo oczywiście pomijając całą część wstępnej recenzji, dającą analizę sztuki, walory reżyserskie i szczegółowo omawiającą wykonawców głównych ról — oko moje zatrzymało się na końcowym fragmencie sprawozdania, które cytuję w dosłownym jego brzmieniu: „W małej epizodycznej roli głupawego, przerażonego sługi zadebiutował p. Werowicz (jest chyba rzeczą dla wszystkich zrozumiałą, że aspirant do zawodu aktorskiego nie może nie mieć wykombinowanego pseudonimu; ta tradycja, wsparta jeszcze koniecznością ukrywania się ze względu na władze szkolne, kazała mi skrócić metrycznie moje nazwisko, odrzucając pierwszą jego sylabę i pozostawiając li tylko przy trzech następnych — stąd Werowicz). Młodzieniec ten rokuje najlepsze nadzieje. Był tak naturalnie i przekonująco wystraszony, jak gdyby istotnie jego samego spotkała w życiu jakaś brzemienne w skutki katastrofa. W jego przerażeniu było tyle sugestywnej prawdy, tyle szczerości, że te walory pozwalają twierdzić, że p. Werowicz ma wszelkie dane do poważnej kariery artystycznej. W każdym razie należy stwierdzić, że debiut był niezwykle udany“.

Całe zmęczenie, depresja i kacenjamer zamieniły się w huraganowy podmuch szczęścia. Wskoczyłem z bramy i niemal wyciągniętym kłusem z „Kurierem“ w rękach pobiegłem do Bliklego, gdzie już zastałem kilku moich dawnych kolegów i całą gromadkę nowych obecnych moich współtowarzyszy z zespołu teatru łódzkiego, naocznych świadków wczorajszego mojego tryumfu.

Niestety, rozkoszna ta idylla trwała zaledwie pięć tygodni. Matka moja, nie doczekawszy się po miesiącu powrotu Olutka, w poszukiwaniu zguby zjechała z Klukówka i drogą ustnych informacji po szeregu zawitych poszukiwań, kierując się intuicją i metodami Sherlocka Holmesa, odnalazła uciekiniera na scenie *ad hoc* przerobionego cyrku w czasie próby z jednoaktowej komedijki swojskiego autora pt. „Wisus“. Rozegrał się bezkrawy wprowadzie, ale bardzo mroczny dramat. Matka zrobiwszy najszlachetniejszą zresztą scenę dyrektorowi W. za samowolne wyrwanie z ławy szkolnej obciążonego młodzieńca, dosłownie za rękę, w oczach całego zespołu „moich kolegów“, ostentacyjnie wprowadziła syna na ulicę przez tę samą bramę i obok tegoż śmietnika, za którym ukryty przed pięciu tygodniami przeżywałem tragedię i mękę narodzin wielkiego artysty.

Tak się skończyły pierwsze moje umizgi do nie wdzięcznej Melpomeny. Na formalne zaślubiny musiałem teraz czekać z górą aż pięć lat.

JEDENAŚCIE MIESIĘCY W KOREI

(7)

Fotoreportaż własny „Świata“

TEKST I ZDJĘCIA: ANDRZEJ BRAUN

PO wielu dniach zwiedzania Phenianu zżylem się tak z tym miastem, że trudno mi było wyjeżdżać dalej na południe. Czas był bardzo ciężki. Bombardowania trwały dniem i nocą. Nad wszystkimi szosami dojazdowymi krążyły samoloty. Ileż razy trzeba było zostawiać wóz i uciekać w najbliższe pola ryżowe czy zarośla. Ileż razy wracając z wspaniałych koncertów urządzanych w podziemnym teatrze w Marambonie, strzały strażników chińskich przy drodze kazały nam gasić światła i kryć się, póki piraci powietrzni nie polecą gdzieś dalej. Noc w noc Amerykanie bombardowali tamy nawadniające pola ryżowe, zatapiały zbiory, powodowali powodzie. Toczyli bandycę wojnę z rolnictwem, z ludnością chłopską, chcieli wziąć Koreę głodem. Którejś czerwcowej nocy wyruszyłem połowym „gazikiem“ w niebezpieczną drogę na południe, do Kesongu, na linię frontu. Straszna to była podróż, wzdłuż najważniejszej szosy, prowadzącej ze stolicy do głównego punktu na froncie. Płonący od napalmu Sariwon, eksplodujące w pożarze pociągi pełne amunicji i benzyny, straszliwe leje i zniszczenia jak po wybuchu wulkanu. Kesong, do którego przyjechałem rankiem, leżał już w strefie neutralnej. O kilometr od miasta, na wzgórzach, huczały bez przerwy działa. Front nie spał, wojna trwała. Sam Kesong był jedynym nie zniszczonym miastem w Korei. Tutaj mieszcł się sztab delegacji rozejmowej koreańsko-chińskiej. Ciekawe to były i ważne tygodnie. Podpisanie rozejmu i przerwanie działań wojennych zbliżało się z każdym dniem, a jednocześnie dowództwo amerykańskie i klika lisymanowska dokonywały wszelkich prowokacji, ażeby zerwać rozmowy i stordedować już zawarte układy. Tak np. uprowadzono podstępnie i siłą wcielono do armii Li Syn Mana 27 tys. jeńców wojennych, którzy mieli wrócić do ojczyzny. Dzień w dzień jeżdżaliśmy 12 km z Kesongu na małą łączkę w Panmundzonie na samej linii frontu, gdzie w małym baraku, otoczonym kilkoma namiotami, pod strażą żołnierzy koreańsko-chińskich i zandarmów amerykańskich „MP“ (Military Police) odbywały się codzienne spotkania przedstawicieli obu walczących stron. Ta łączka w Panmundzonie znajdowała się w owe dni w centrum uwagi całego świata. Naokoło huczały działa. Tutaj toczyła się dramatyczna walka o pokój.

Ożywione dyskusje wiedli dziennikarze USA z korespondentami strony ludowej.



Kesong — tu było spokojnie. O kilometr dalej, na wzgórzach — huczały działa.



W owych dniach wiele dzieci przebywało w Kesongu. Tu było spokojnie, bezpiecznie...



Za rękę



Lapigrosze

Tekst:

ARTUR BARTELS

Lapigrosze — to twórca satyryczny wydany w Paryżu, w drukarni Lemercier, w roku 1858 przez I. K. Wilczyńskiego. Teksty są pióra popularnego w owym czasie piosenkarza, satyryka i rysownika, Artura Bartelsa, a rysunki — dziełem nikomu podówczas nieznanego olbrzyma poezji polskiej i uśpianego artysty: Cyprjana Kamila Norwida. Jak doszło do ich współpracy i powstania cyklu grzającej satyry społecznej — dotąd nie wiadomo. Bartels mieszkał wtedy w Wilnie, Norwid w Paryżu. Najprawdopodobniej zapośredniczył w tym Wilczyński, który wydając „Tekę wileńską” mógł utrzymywać kontakt z Bartelsem. Według znawców nie wszystkie rysunki stworzył sam Norwid, niektóre są roboty Bartelsa i były przez Norwida tylko poprawiane. W każdym razie znać wyraźnie jego pazur wielkiego artysty. Jeden z uwspółczesnych krytyków francuskich porównywał twórczość rysunkową Norwida z pracami Leonarda da Vinci. My widzimy w postacach Lapigroszów raczej podobieństwo do utworów dwóch znakomitych Francuzów, działających w tym właśnie okresie: Honoriusza Daumiera i Pawła Gavarni. Autorzy podkreślają we wstępie, że ryciny „nie są ani paszkwilem, ani satyrą”, że Lapigrosz przedstawiony jest taki; jak go artysta „miał zręczność zrozumieć”. Satyryczny charakter dzieła jest jednak oczywisty i wydobywa na jaw wszystkie cechy upadającego ziemiaństwa: ciemnotę, okrucieństwo, chciwość. Mały nakład, a zwłaszcza radykalizm społeczny utworu były przyczyną, że ten cykl świetnych rysunków nie był w Polsce prawie wcale reprodukowany. Kilka tylko plansz zamieścił w 1913 roku „Tygodnik Ilustrowany” autor satyryczny tygodnik „Sowizdrzał”. Toteż można powiedzieć, że obecnie czytelnik polski właściwie po raz pierwszy ogląda „Lapigroszów” w całej ich okazałości.



PIETRUSZEK, w latach dzieciństwa past gęstym ciętą i nierozgaźnię, obecnie lokaj i karmidynier. Bierze Wincenty Kucharz do wszystkich potraw pakuje rodyński. Wciąż jest w kłótni z Ochmistrzyną o krupy i masło. Marcin Stangret wciąż w złym humorze. Bartek Stróż (gatunek Murzyń) robi wszystko, łączy wszystkich i biją go wszyscy. Marysia Dziewka pierze bieleż, chodzi do krów, piele w ogrodzie, sznuruje panne i karmi świnię, prócz tego jest kochanką Pietruszki. Panna Szułca, Szlachcianka i Ekonominowa, wielka faworytka samej Pani, bo ją bawi plotkami. Grywa na angielskiej gitarze i bardzo pięknie śpiewa



ZABAWY LAPIGROSZÓW. Niekiedy urządza polowanie na którym mało strzelają, ale zato piją często starą wódkę. Pan Lapi Grosz dla rozrywki prowadzi od lat 16-18 proces graniczny z sąsiadem o trzy morgi błota. Wieczorem grywa w preferansa po szelongu. Pan Lapi Grosz dwa razy na rok, to jest: na swoje i Małżonki Imieniny, daje wielki obiad na którym figurują Sago z winem czerwonym — Kawa czarna ziemna — Wino szampańskie ciepłe — a lody w kształcie wasser-zupy.



ŁAPIGROSZE. Pan Łapigrosz w mieście powiatowym starający się o opiekę nad sierotami Rodziców zamożnych. Pan Łapigrosz w gronie rodziny. Pan Łapigrosz przy zatrudnieniach gospodarskich



LAPIGROSZ NA KONTRAKTAH (rodzaj dorocznego jarmarku w mieście powiatowym). Pan Lapi grosz zwykle jest łagodnym względem swego Debitora. Pan Lapi grosz, gdy płaci pieniądze. Pan Lapi grosz, gdy bierze pieniądze. Ci nigdy nie tracą na Kontraktach (cyrulik, karczmarz i aptekarz).



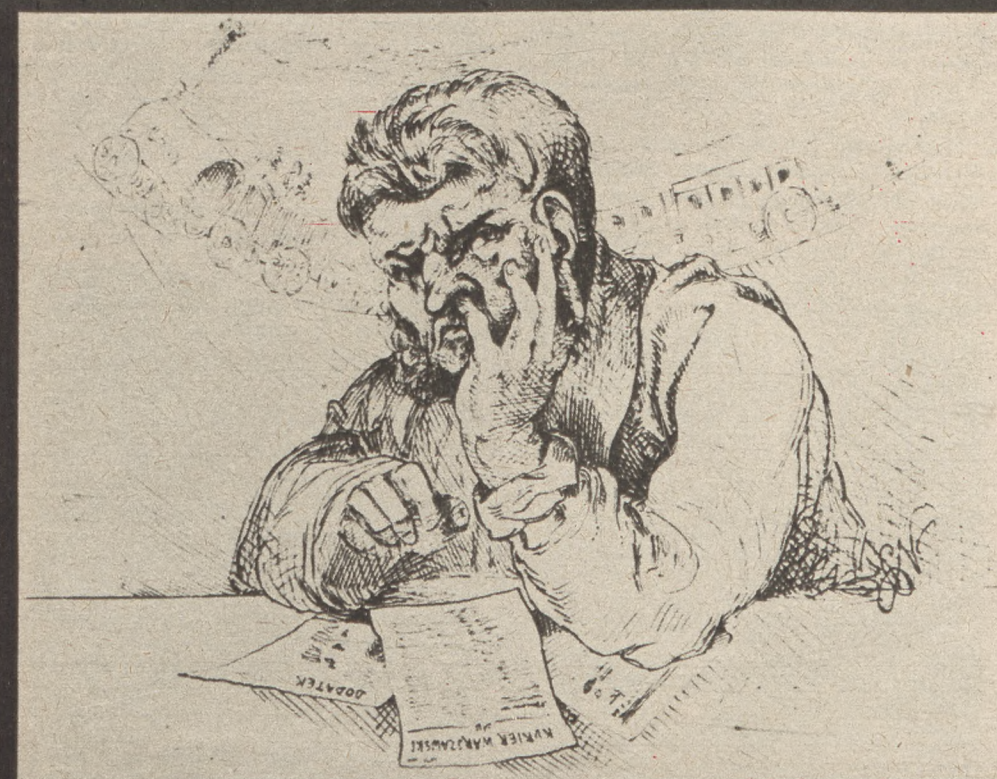
MAŁŻONKI LAPIGROSZÓW. Albo pocziwa sobie babina nieco zrzedna w Domu, ale w pieczeniu ciast i urządzaniu wedliny celuje. Albo Elegancka, która widzi się w konieczności noszenia pół tuzina spódnic gumowanych i każdego lata być w Druskiénkach. Ciępi spazmy, czyta romanse i abonuje dzienniki mód. Albo ni to ni owu. Nudna, ale nie naprzykrzona. Pości trzy dni na tydzień, do wszystkich miejsc cudami słynących jeździ i prócz ogórków z miódem nie namiętnie nie lubi. Albo Baba zła, brzydka, flondra, rzadko się umywa, rzadziej jeszcze czesze. Sąsiedki twierdzą, że się lubi zakrapiać, ale to mogą być plotki.



WIADOMOŚCI NAUKOWE LAPIGRÓSZÓW. W Astronomii. W Fizyce — termometr. W Literaturze. W Polityce. W Historii (brednie kupiono na jarmarku). W Medycynie (pijawki i uniwersalne pigułki i miksturka na porost włosów). W Sztukach pięknych (dukaty). W Matematyce. W Językach. W Geografii. W Administracji domowej.



FILANTROPIA ŁAPIGROSZÓW. Pan Łapi grosz niektórym ze swych Włościan dozwala trudnić się przemysłem, żebractwem, zastrzegając tylko opłatę regularną należnych podatków.



BADANIA NAUKOWE LAPIGROSZOW. Pan Lapigrosz słyszał wprawdzie, a nawet i czytał trochę o kolejach żelaznych i maszynach parowych; ale mu to jakoś w głowie zatrzymać się nie może.



EPILOG. Przeżywszy tym sposobem długie lata, Pan Lapigrosz czując bliski kres życia, rozporządza majątkiem: Synom wszystko — Żonie dożywocie, a Zięciom trzecią część tego co obiecywał. — Synowie stawiają pomnik, równie gustowny, jakoteż i sumienny w swym napisie.



WILKI W ZAKOPANEM

JERZY WALDORFF



KIEDY wyjeżdżałem na odpoczynek do Zakopanego i przyszedłem do redakcji pożegnać się, redaktor „Świata” spojrzał na mnie z obrzydzeniem: inni muszą pracować, a ten jedzie. Otarł pot z czoła, zamyslił się, po czym wysapał:

— Odpoczynek odpoczynkiem, a musi pan przysłać felieton o Zakopanem.

Zdrzutotany, osunąłem się pod biurko.

— I w dodatku wesoły! — rzucił redaktor pod to biurko.

Wyszedłem spod mebla, wsiałem do pociągu i pojechałem. Ale kiedy byłem tu czas jakiś, to mogłem złośliwie skonstatować, iż nie ja będę przegrany, a redaktor. Bo w górach od dziesięciu dni leje jak z cebra, że wychodzimy tylko patrzeć, czy owcom wyrosły pletwy. I nie będę mógł napisać felietonu wesołego, a będę musiał kropnąć felieton wściekły — i to nie tylko z powodu pogody...

W Zakopanem byłem ostatni raz przed sześciu laty. Tymczasem jakoś bardziej ciągnęło mnie nad morze. Ba! Sześć lat, to dużo czasu do pracy — myślałem. — Nie poznam Zakopanego! Ale poznałem...

Nic się w nim nie zmieniło nie tylko od sześciu lat, ale chyba od znacznie odleglejszych czasów... Jeśli była u nas jakaś ulica brzydsza od zakopiańskich Krupówek, to może przedwojenna Świętokrzyska w Warszawie. Lecz Świętokrzyska jest dziś imponującą arterią, zaś Krupówki dalej są mieszaniną drewnianych bud, secesyjnych kamieniczek i powitykanych tu i ówdzie pseudonowoczesnych domów-strazydeł.

Sześć lat... Przez ten czas powstało nowe centrum Warszawy i Nowa Huta. odbudowano zabytki Gdańska, kraj pokrył się setkami tysięcy nowych domów po wsiach i miastach i w niebo strzeliły setki kominów potężnych kombinatów przemysłowych. Starczyłoby ledwo jakieś odpadki tego gigantycznego rozmachu, by zmienić w samo piękno niewielkie centrum miejscowości pod górami, które odkrył dla Polski jeszcze Staszic, gdzie spotykał się Żeromski z Sienkiewiczem, tworzyli Przerwa-Tetmajer i Kasprzowicz, gdzie powstały „Harnasie” Szymanowskiego — miejsca, które zwano letnią stolicą kraju.

Niestety odpadków rozmachu zabrakło. Nie zabrakło tylko odpadków bezmyślności. Chcąc wyrównać braki urbanistyczne... sloganami, zakopiańska Miejska Rada Narodowa przystroiła Krupówki takim, złożonym z wielkich czerwonych liter napisem: „Treścią nowej turystyki jest wspinała rzeczywistość kraju budującego socjalizm”. Gdyby August hr. Bęć-Walski długo myślał, jak ośmieszyć nasze hasła postępowe, nie wymyśliłby nic, co brzmiałoby mętniej i bardziej na przekór zakopiańskiej rzeczywistości.

Przebywająca tu świetna aktorka „Teatru Satyryków” w Warszawie, Ire-

na Kwiatkowska, niedawno gwałtownie zaniemogła. Stało się tak dlatego, że kiedy wyjeżdżała z Zakopanego zimą, rozpoczynano „potężne” inwestycje drogowe. Niedłuższy nad 100 metrów odciniek ul. Witkiewicza miał być wspinalnie unowocześniony przez otoczenie chodników krawężnikami. Ulicę zamknięto, rozkopano, aktorka wyjechała, a gdy wróciła po kilku miesiącach — ulica była nadal rozkopana. Przez 3 miesiące nie zdążono założyć 100 metrów krawężnika, więc krewką Kwiatkowską szlag trafił*).

TANDETA DLA MAS

W Zakopanem istnieją następujące szkoły ludowego przemysłu artystycznego: Liceum Technik Plastycznych (rzeźba, stolarstwo artystyczne i lutnictwo), Technikum Budowlane (architektura regionalna) i Zasadnicza Szkoła Odzieżowa (krawiectwo, tkactwo, koronkarstwo). Prócz tego w bliskim Nowym Sączu są — Technikum Skórzane oraz Podhalańskie Kursa (tkactwo, koronkarstwo, dziewiarstwo). Szkoły te zainicjowały w początkach roku konkurs i Wystawę Pamiątkarstwa Podhalańskiego. Około 500 artystów ludowych przysłało ponad 2 000 eksponatów. Wystawa wzbudziła entuzjazm sięgający poza granice kraju. Oto m. in. bawiający u nas przedstawiciele bogatej w kulturę Francji stwierdzili, że zakopiańskie eksponaty mogłyby podbić Paryż i że proponują w swej ojczyźnie podobną akcję propagandy ludowej twórczości artystycznej.

Tak więc sztuka podhalańska wpłynęła może na estetykę odległego Paryża, choć nie wpłynęła ani trochę na estetykę Zakopanego. Kramy i budy Krupówek dalej zawałone są potwornymi rzeźbami w drzewie, fabrykowanymi przez pokątnych partaczy, straszliwą „góralską” odzieżą ni to z Tatr, ni to z Tyrolu i ohydą galanterią. W całym Zakopanem jest jeden (dosłownie: jeden) sklep Cepelii z naprawą artystycznymi wyrobami regionu, a reszta to — prywatna inicjatywa, ta sama, która przed wojną zalewała straszłą tandetą „pamiątek z Zakopanego” straszne mieszkania strasznych mieszczan, a dziś wcale nie myśli rezygnować z dalszego fabrykowania najróżniejszych potworności.

Czy można by ten stan rzeczy poprawić? Nic prostszego! Należy tylko powołać stałą artystyczną komisję kwalifikacyjną przy MRN, która oceniałaby wzory pamiątkarskie, dopuszczane na rynek Zakopanego, a wzory te — coraz piękniejsze i bardziej urozmaicone, mogłyby łatwo być dostarczane chociażby tylko przez wspomniane szkoły ludowego przemysłu artystycznego.

Niestety, Miejską Radę Narodową w

*) Ul. Witkiewicza rozkopana jest już od przeszło trzech lat — Redakcja.

Zakopanem zdają się sprawy owe nie obchodzić. Tandeta kwitnie bezkarnie i wszędzie. Przed stacją kolejki linowej na Kasprowy urządza fotograf. Aby nie być gorszym od swych kolegów-tandeciarzy z Krupówek, ma dla klientów przygotowany strój góralski z... dykty. Na wyciętym kawałku dykty namalowany jest góral bez głowy. Stajesz za dyktą, wytykasz głowę i już jesteś „juhas ci ja, juhas!” (spójrzcie na zdjęcia).

KULTURA ZE ŚLEDZIEM

A Zakopane to stacja arcyważna na drodze rozwoju kultury w naszym kraju. Dzięki upowszechnieniu sportów zimowych sezon w Zakopanem trwa przez rok cały. Nie zmienił się wygląd miejscowości, ale zmieniła się jej klientela. U stóp gór odpoczywają i leczą się inni ludzie. Rozwijając siłę ich organizmów można by jednocześnie rozwijać umysły, jakże chłonne na wiedzę i sztukę. Więc tu powinny zjeżdżać najlepsze imprezy teatralne i muzyczne.

Jak mnie informują miejscowi przyjaciele, dobry teatr przyjeżdża do Zakopanego mniej więcej dwa razy na rok, aby grać w sali kina lub w sali hotelu „Morskie Oko” — obu nie odnawianych mniej więcej od ćwierć wieku.

Czołowi wirtuozi zjeżdżają jeszcze rzadziej, natomiast w muszli parkowej występuje amatorska orkiestra dęta, której słuchałem. Krótko, gdyż dłużej nie mogłem, bo grała wprowadzie melodie z „Księżniczki czardasza”, lecz w sposób rozdierający serce, uszy i wszystkie inne organy wrażliwe na dźwięki. Wyobrażam sobie, że w tejsze muszli mogłaby grać ludowa kapela góralska — góralskie melodie, co chyba byłoby najwłaściwsze, zważywszy na miejsce.

Stosunkowo najlepiej działa kino. Wszystkie nowości filmowe pokazywane są dość szybko po prapremierze warszawskiej. Ale... i tu ma prawo wglądu Miejska Rada Narodowa, która przez rok nie chciała dopuścić na ekran zakopiański „Hamleta”!

Wreszcie istnieją lokale specjalnie charakterystyczne dla widowiskowej rozrywki: kawiarnie pod gołym niebem. Do jednej z nich wybraliśmy się niedawno. Położona jest ślicznie, u wlotu do doliny Strążyskiej, i ma piękny, otwarty taras, gdzie można by przyjemnie pogwarzyć, wsuwając poziomki ze śmietaną lub pijąc zsiadłe mleko. Taras znaleźliśmy pusty, bez stolików. Wnętrze lokalu ziało skisłym fetorem piwa. Do skonsumowania były jedynie dwa dzwonek śledzia, krawiec kiełbasy i wódka. Ta — w nieograniczonych ilościach.

OGROMNY WILK

W Zakopanem pracuje szewc, który się nazywa S. Żywioł. Bałbym się po-

wierzyć mu swe dolne sprawy, gdyż zrobiłby mi pewno buty nr 400, a jeśli długie, to z cholewami do szyi. Ale chętnie dałbym temu Żywiołowi pełną władzę nad miastem. Niechby porozwalał budy z tandetą na Krupówkach, rozbił szynkwasy z wódką i przepędził ludzi, którzy nie potrafią zająć się estetyką i kulturą zakopiańską.

Potem trzeba byłoby szukać ludzi nowych. Czy by się znaleźli? — Ja mam już jednego kandydata.

Pensjonat, w którym mieszkam, położony jest przy alei wiodącej z Krupówek do skoczni narciarskiej, a więc przy arterii pierwszorzędnej znaczenia. To nie przeszkoda, że owa ulica przypomina raczej wygon dla krów. Aliści w przystępie niezrozumiałej rozrzutności MRN kazała obsadzić aleję drzewami. Wątpliwymi, młodziutkimi pędami, którym bez podpory słupków groziłoby złamanie przez pierwszy lepszy wiatr halny. Słupki są, ale sznurków do wiązania drzewek brakowałoby, gdyby... — Gdyby nie listonosz, Wojciech Kozielski, który codziennie dostarcza nam pocztę. W swej ciężkiej torbie obok listów nosi sznurki i podwiązuje nimi drzewka. Codziennie rano, gdyż po południu jakieś łobuzy sznurki odcinają. Ale na jutro Kozielski znów idzie od drzewka do drzewka i wiąże.

Więc tego Wojciecha Kozielskiego mianowałbym naczelnym dyrektorem zieleni i drzewostanu w Zakopanem. Bo teren swojej roboty i przedmiot opieki trzeba kochać.

Dosyć! Za oknem mego pokoju niebo poczyni się rozjaśniać. Z Giewontu schodzą mgły i tylko głowa jego osłonięta jest chmurą jak całunem, żeby śpiący rycerz mógł spoczywać w pokoju. A świerki na reglach biją w górę żywiczną wonią jak kadzielnice na chwałę skalnego olbrzyma i na zdrowie pokoleń ludzkich, zjeżdżających w te góry po nowe siły do pracy.

Wyjdę teraz na spacer z moim małym przyjacielem, pięcioletnim Jankiem. Janek jest mądrym dzieckiem, więc zamiast słuchać głądzenia starszych — sam woli opowiadać sobie bajki.

— Był raz ogromny wilk — zaczyna Janek. — A na drzewie mieszkał ptaszek. I ten wilk zaczął trząść tym drzewem, żeby ptaszek spadł. Wtedy przyszedł myśliwy z karabinkiem, ale ten wilk zjadł ten karabinek z buraczkami. Dopiero przyszedł króliczek i powiedział wilkowi, że ten ptaszek to jest krowa i ten wilk się przestraszył i uciekł.

Tak opowiada Janek, a ja sobie myślę:

— Kiedy wreszcie uda się przegnać z naszego kraju ogromnego wilka niechlujstwa i bezmyślności?...

Portret fakira

Napisał: LUCJAN WOLANOWSKI

PANIE i panowie, bardzo prosimy nie tłoczyć się! Każdy zobaczy — to wszystko jest przecież na pokaz! Oto fakir Burmah, znany również jako „francuski fakir” — wychodzi ze swej szklanej klatki, opatrzonej dwudziestoma pieczęciami, gdzie głodował przez całe 92 doby i dwie godziny, bijąc tym rekord „niemieckiego fakira” Herosa, który zażądał posiłku już po 81 dobach i siedmiu godzinach. Tak więc zwycięstwo francuskiego głodowania nad głodowaniem zachodnio-niemieckim jest niezaprzeczalne...

Panie i panowie, proszę nie myśleć, że sukces ten przyszedł łatwo. O nie — fakir Burmah trenował już uprzednio w różnych miastach Francji, głodując kilkakrotnie przez jeden miesiąc. Od roku 1946 zażywa codziennie wielkie ilości preparatów sulfamidowych „Ganida”, które — zdaniem lekarzy — zupełnie zdegenerowały jego kiszkę. Również codziennie tyka 100 gramów wyciągu z kaktusa meksykańskiego „peyoti”, który paraliżuje normalne działanie jego systemu trawienia i utrzymuje go w stanie półodurzenia. Przez cały okres bicia rekordu w Lille, fakir Burmah otrzymywał (rejentalnie stwierdzone — tu nie ma żadnego oszustwa, proszę państwa!) tylko 2 litry wody dziennie z rozpuszczonymi w niej 16 gramami soli. Żadnych preparatów witaminowych, żadnych koncentratów odżywczych — tu jest, proszę państwa, prawdziwy głód!

Zresztą, proszę tylko posłuchać: przez 92 dni fakir Burmah stracił na wadze 18 kg. 200 g. — ten wynik mówi chyba sam za siebie! Pana w trzecim rzędzie bardzo prosimy o niezjadanie tej smakowitej kanapki — to niepotrzebnie powoduje apetyt u fakira, który przecież nieprędko będzie mógł jadać normalnie. Lekarze zastanawiają się, czy jego przewód pokarmowy, zatruty preparatami i wyniszczony głodówką, w ogóle powróci do prawidłowego funkcjonowania — ale cóż to nas może obchodzić? Przecież za niewielką opłatą patrzyli państwo przez 92 dni na człowieka głodującego w klatce — a teraz, przedstawienie jest już skończone! Fakir Burmah jest stanowczo wielkim szczęściarzem! Przecież głód jest nieodłącznym towarzyszem naszego kapitalistycznego świata. Nie będę tu już bowiem wspominał, że w roku 436 przed naszą erą panował w Rzymie tak straszny głód, że ludzie tysiącami rzucali się do Tybru, nie zatrzymując się nad faktem, że w minionym stuleciu zmarło z głodu sto milionów Chińczyków, a w roku 1769 zginęło z głodu 10 milionów ludzi w Bengali. Bawiem po co szukać tak dawno — przecież przed jedenastu laty w Bengali kłeska głodu zabiła dwa miliony ludzi. Było to w tym samym roku, kiedy w Argentynie, dotkniętej kłeską urodzaju, spalono 8 milionów ton zboża, aby nie dopuścić do obniżki cen. Ta sama Argentyna zniszczyła w roku 1948, ziarna za 500 milionów dolarów — tuż po opublikowaniu sprawozdania ONZ, stwierdzającego, że połowa całej ludności naszej planety przymiera głodem i że są tylko słabe nadzieje utrzymania przy życiu głodujących dzieci.

Proszę tylko pomyśleć, że tym głodującym absolutnie nikt nie płacił za prawo ich oglądania i że głodowali oni — państwo wybacz ten zwrot — zupełnie bezinteresownie, — po prostu uprawiali sztukę dla sztuki. Doprawdy, fakir Burmah może uważać się za wybrańca losu...

Aby głodowanie nie było za łatwe, towarzysztwa dotrzymywało naszemu fakirowi Burmah przez cały czas 30 jadawych żmij. Proszę tylko spojrzeć uważnie — całe ich kłębowisko dostrzegą państwo bez trudu po lewej stronie zdjęcia, dokonanego przez fotografa agencji „Keystone”. Aby nie zginąć od ich ukąszeń, fakir szczepił się i ma teraz 13 mm. sześciennych jadu w swym organizmie. Podczas 92 dni głodówki — żmije ukąsiły go 38 razy. W zeszłym roku w Dijon, podczas suchej zaprawy — jeżeli wolno mi tak nazwać miesięczną głodówkę — do bicia rekordu, żmija ukąsiła go w samą żyłę. Przez kilka godzin fakir Burmah znajdował się w agonii i walczył ze śmiercią — lekarze ledwie go uratowali. Najgorsze jest to, że musieliśmy przerwać głodówkę i zwrócić publiczności za bilety — agonia poza szklaną klatką nikogo nie interesowała!

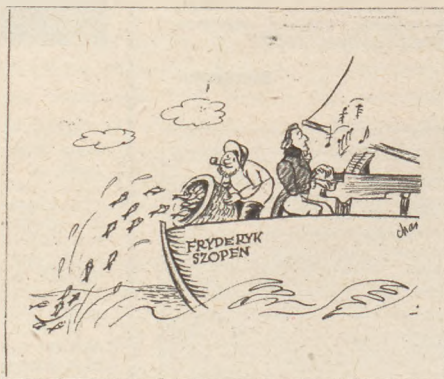
Zony fakira nie ma na zdjęciu — podczas głodówki męża urodziła w szpitalu w Lille córeczkę Marię - Krystynę. Kto wie, może mała Maria - Krystyna doczeka czasów, gdy w jej kraju ludzie — aby mieć co jeść — nie będą musieli głodować?



CZY TRZEBA SIĘ GŁODZIĆ, ABY MIEĆ CO JEŚĆ?

CZY CHOPIN LUBIŁ ŚLEDZIKA?

WODPOWIEDZI na to pytanie uczeni zawsze się różnili. Były właściwie dwie zwalczające się szkoły: jedna twierdziła, że Chopin śledzi nie znosił i że jedna z poważniejszych scysji z panią George Sand wynikała właśnie wskutek tego, że pani George Sand zbyt często podawała w Nohant śledzie na zakąskę, co Chopin uważał za osobistą złośliwość (Jarosław Iwaszkiewicz w swojej sztuce „Lato w Nohant” zupełnie bezpodstawnie przeniósł ten konflikt na bardziej błahą i mniej typową płaszczyznę — powodem sporu Chopina z George Sand uczynił pierś kury. Trudno dociec, na czym nasz znakomity pisarz się oparł). Druga szkoła badaczy twierdziła z całą stanowczością, że Chopin śledzie jadł często i ze smakiem, zwłaszcza makrele. Opierali się oni na fragmentach zbiorowego wydania listów Chopina („Listy Chopina” — wyd. H. Opieński — r. 1937), które wprawdzie o śledziach nic nie mówiły, ale drogą skrupulatnej analizy innych jego wypowiedzi na tematy gastronomiczne — na którą nie tu miejsce — oraz na podstawie ekspertyzy znawców kulinarnych można było wnioskować, że upodobanie do pewnych potraw i smaków pociągało za sobą nieuchronnie pociąg do śledzi. Przytaczano także jako argument znany fragment z Wesela, a mianowicie słowa Nosa: „Chopin gdyby



jeszcze żył, to by pił”, wnioskując „skoro by pił, to pod śledzia”. Ten argument ostatni należy jednak uznać za nienaukowy i nie może on się ostać wobec krytycznego warsztatu historycznego.

W tym gnębiącym od dawna historyków problemie musiały zająć jakieś doniosłe, a nieznane nam bliżej rozstrzygnięcia. Zwolennicy szkoły śledziowej zdobyli widocznie ważne dowody na ostateczne poparcie swojej tezy. Czymże bowiem innym można by wytłumaczyć fakt, że oddany niedawno do użytku polskiego rybołówstwa piękny nowoczesny statek-baza otrzymał uroczyste imię „Fryderyk Chopin”?

PS. Teraz już całkiem poważnie. Przyznaję, że na wiadomość prasową

HISTORIA JAKICH MILIARD...

TYM razem wzdrygnęli się nawet amerykańscy kongresmeni, a nie są to ludzie szczególnie wrażliwi. Z rąk do rąk podawali sobie niewielką, kolorową książeczkę, jakich okragło miliard wypuszczają co roku drukarnie amerykańskie. Po prostu — zeszyt „comics”. Bohaterka, dziesięcioletnia dziewczynka (filuternie mrugająca ku nam z ostatniego obrazka tej serii), opowiada, jak urzeczywistniła największe marzenie swego życia: pozbyła się taty i mamy, którzy się jej... znudzili. Streszczając opowieść w kilku słowach, rzecz miała się tak: przemiłe dziewczę podpatrzyło pewnego dnia, gdzie tata chowa rewolwer. Wykradło broń z szuflady i wdziawszy rękawiczki (odciski palców — rzecz zdradliwa, mała świetnie o tym wie) jednym wystrzałem uporała się z ojcem. Z kolei przemysłne dziewczę zabrało się do realizacji drugiego punktu programu.

Śmiercionośny rewolwer podrzuciła teraz matce, która nie orientując się w sytuacji, chwyciła broń, by odłożyć ją na miejsce. Wchodząc do gabinetu męża, natknęła się na jego zwłoki i z okrzykiem przerażenia upuściła rewolwer na podłogę. Tu też znalazła broń policja, gdy zaalarmowana przybyła na miejsce zbrodni. Śledztwo

trwało bardzo krótko. Odciski palców na kolbie rewolweru obciążły niedwuznacznie matkę. Gdy zaś córeczka poinformowała detektywów, że mama widywała się często z młodym człowiekiem imieniem Steve, motyw zbrodni nasuwał się sam przez się.

Teraz już sprawy potoczyły się normalnym biegiem. Informuje o tym bohaterka „comics” w kolejnych rysunkach:

„W naszym stanie mordercy giną na elektrycznym krześle. Mama powędrowała pierwsza...”

„...Potem Steve...”

I wreszcie z tryumfalnym a filuternym przymrużeniem oka:

„Dokładnie tak, jak sobie to obmyślałam, kiedy zastrzeliłam ojca z okna frontowego pokoju przy pomocy rewolweru, który — wiedziałam o tym — zawsze leżał w nocnym stoliku, a potem zbiegłam na dół i podrzuciłam go matce udając, że płaczę...”

Taka to historyjka znalazła się w rękach członków amerykańskiego Senatu, prowadzących dochodzenie w sprawie „comics”. Gorzej, że w milionach egzemplarzy krąży wśród amerykańskich dzieci. Jako jedno zresztą z wielu podobnych wydawnictw, publikowanych w łącznym nakładzie miliarda egzemplarzy rocznie! 11-letni David Crozier z Hermiston, w stanie Oregon, zapragnął naśladować ową „comicstorię”, ale był mniej zmyślny od jej bohaterki. Po prostu zaszytował swych rodziców i... został ujęty przez policję.

Dochodzenie w sprawie comics, prowadzone przez Senat USA, zakończyło się oświadczeniem jednego z najbogatszych wydawców tego rodzaju „literatury”, mr Williama Gainesa. Zapytany, czemu produkuje te okropności, odparł: „Dla mnie decydujący jest wyłącznie zysk”. Senatorowie natychmiast spuścili z tonu. Producenci „comics” reprezentują kapitały wynoszące setki milionów dolarów i ulokowane w jednym z najbardziej dochodowych przedsięwzięć amerykańskich. Mr Gaines rozproszył resztę wątpliwości panów senatorów, stwierdzając:

— W epoce atomowej skrupuły waise wydają mi się co najmniej dziwne...

Amerykańskie dzieci pochłaniać więc będą nadal miliony potwornych historyjek obrazkowych, wychowując się w duchu wymagań „epoki atomowej”.

STAR



MAKAR

FILM NAD GANGESEM



„Dwa hektary ziemi” — film, który zachwycił widzów na tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlovyh Varach, a poprzednio w Cannes, jest opowieścią o ojcu i małym synu, którzy dla ratowania obciążonego długami poletka ruszyli po pracę do miasta. Mimo nadludzkich wysiłków nie zdołali oni zarobić ani w zaprzęgu rikszy, ani czyszcząc buty przechodniom — potrzebnej im sumy.

„Dwa hektary ziemi” nadesłane zostały na Festiwal w Cannes i w Karlovyh Varach przez Indie. Wstyd się nawet przyznać, że my w Europie tak niewiele wiemy o kinematografii hinduskiej, która produkując 250 filmów pełnometrażowych rocznie, ustępuje w ilościowej wytwórczości jedynie Hollywood. A czy wiecie też, że pierwszy pokaz filmowy w Indiach odbył się jeszcze w 1896 roku w Bombaju staraniem braci Lumiere? Czy wiecie, że klasyczne dzieła kinematografii europejskiej czy amerykańskiej nigdy nie były wyświetlane w Indiach? Wpłynęło to niewątpliwie na specyfikę filmu hinduskiego i jego prymityw techniczny oraz banalność artystyczną. Pierwszy film wyprodukowano w Indiach w roku 1913. Jego fabuła, oparta na mitach religijnych, jest po dzień dzisiejszy klasycznym wzorem produkcyjnym i zapoczątkowała typ filmu dominującego do dziś w tamtejszej produkcji. Indie nakręcają poza tym filmy przesycane wschodnim bogactwem zabytków architektury, stylizowanymi tańcami i pieśniami, obrzędami religijnymi. Filmy realistyczne, jak np. wyświetlane w Polsce „Na kaluckim bruku” czy wspomniane już „Dwa hektary ziemi”, powstały dopiero po II wojnie światowej i nakręcone zostały niezawodnie pod wpływem podjętych dopiero niedawno kontaktów z kinematografią światową. Styl tych realistycznych filmów hinduskich ma wiele wspólnego ze współczesnymi filmami radzieckimi i postępowymi filmami włoskimi.

21 milionów widzów kinowych, którzy co tydzień odwiedzają sale projekcyjne w Indiach, czyni rynek tamtejszy szczególnie interesujący dla producentów. Tę chłonność wykorzystywały umiejętnie brytyjskie firmy, produkujące masowo w latach trzydziestych tasiełkowe historie, przeznaczone dla Indii i nakręcane — przy bardzo niskich kosztach własnych — również w tym kraju. Filmy te opowiadały o szlachetnych zbrojcach, rozdających ludowi skarby zrabowane w pałacach maharadzów, o mordach rytualnych oraz o maharadzach, pojmujących za żony ubogie, wiejskie dziewczyny.

Narodowa kinematografia hinduska jest właśnie protestem filmowców Indii przeciw tej ogłupiającej szmirze. Jednym z pierwszych filmów, który powstał na fali ruchów wolnościowych Hindusów, był przejmujący obraz klęski głodu w Indiach pt. „Dzieci ziemi”. Przy nakręcaniu pomagały wydatnie organizacje chłopskie i studenckie, które zmobilizowały tysiące statystów do scen masowych. Film ten zdobył popularność i uczynił wyłom w charakterze produkcji. Na rynku europejskim zjawiają się teraz coraz częściej autentyczne, pełne wyrazu filmy z życia Indii, które — jak mówią wyniki festiwalów — zdobywają międzynarodowe nagrody dla indyjskiej produkcji.

J. BEREDA



Włoski film „Zwycięzi” (reżyseria Michalangelo Antonioni) mówi o demoralizacji młodzieży w latach powojennych w krajach Europy zachodniej.

Wydarzenia na filmie nie odbiegają od notatek, które każdy czytelnik znajdzie co dnia w prasie Francji, Włoch czy Anglii. Młodzież, która marzy o tym tylko, by upodobnić się do bohaterów „comics’ów”, historii kryminalnych i krwawych filmów gangsterskich — nosi w filmie miano „straconej”. Ogłupiana i zatrutowana bez przerwy przez świadomych swego dzieła podżegaczy do zbrodni — staje się pokoleniem wyzuty z normalnych człowieczych cech.

NA ZDJĘCIACH:

1 EPIZOD FRANCUSKI. Grupa chłopców w wieku 16—18 lat postanawia wyjechać do Afryki Północnej, aby założyć tam lokal rozrywkowy. Potrzeba pieniędzy — ma je podobno jeden spośród nich, przechwalający się posiadaniem majątku. Zabija go. Majątek okaże się mitem, żyjącym w wyobraźni chłopca, który w ten sposób usiłował imponować kolegom.

2 EPIZOD WŁOSKI. Syn bogatych rodziców — spragniony silnych wrażeń — zakłada bandę przemytniczą. W ucieczce przed policją — zabija kilku ludzi, osaczony sam w końcu znajduje śmierć.

3 EPIZOD ANGIELSKI. Młody chłopak zabija starszą bezbronną kobietę po to, by korzystać ze sławy jako „pierwszego, który odkrył morderstwo”. Ale krótkotrwałość tego rozgłosu nie wystarcza mu na długo. Chcąc swoją sławę przedłużyć — sam się demaskuje. Tak będzie tłumaczył prokuratorowi pobudki swego czynu: „Gdy jest się „kims” — jest się podziwianym przez miliony, które i podziwiają, i zazdroszczą...”



POWSTANCZY DYKTATOR

Dokończenie ze str. 8

przez swego „wodza” w misterną sieć propagandy, wywiadu, prowokacji i szantażu. Sierakowski, który przed powstaniem organizował rewolucję ogólnoeuropejską, już znikł z widowni; zabrakło również Jarosława Dąbrowskiego, Szwarczego, Stefana Bobrowskiego, Padlewskiego i Potiebn. Tak zwany „rząd czwartego składu”, będący kombinacją żywiołów „czerwonych” i umiarkowanych, który wysłał Traugutta za granicę, został we wrześniu obalony przez szczerych „czerwieńców” i „mieroślawczyków” (należał do tego rządu i poeta A-snyk). Przemianom rządów towarzyszył rosnący nieład w organizacji; w wewnętrznej walce politycznej zatracali się dwa główne cele powstania: walka z okupacją carską i wprowadzenie w życie najważniejszej uchwały Rządu Narodowego — o uwłaszczeniu chłopów. Poszukiwano człowieka, który umiałby zażegnać owe nieustanne kryzysy rządowe. Podobno od jednego z członków rządu „trzeciego”, mianowicie Franciszka Dobrowolskiego, wyszła propozycja wezwania Traugutta do powrotu i powierzenia mu dyktatury. Z drugiej strony wiadomo, że w rządzie „czwartego składu”, który wysłał Traugutta za granicę, znajdował się Wacław Przybylski, specjalnie ceniony później przez Traugutta, polityk wykształcony i dla Rządu wielce pożyteczny, uznający od początku wielkie wartości Traugutta.

Tak czy inaczej Traugutt powraca w pierwszej połowie października 1863 r. do Warszawy i tu obejmuje najwyższą władzę powstańczą. W późniejszych zeznaniach oświadcza krótko: „Przyszedłszy na posiedzenie Rządu Narodowego zmieniłem skład jego i urządziłem wszystko według własnego rozumienia, obejmując jednocześnie kierownictwo”. Wiadomo jednak, że dnia 17 października Romuald Traugutt wskazał członkom Rządu, do jakiego okropnego stanu doprowadziło powstanie, po czym oświadczył im, że mogą dysponować swoimi osobami, gdyż on sam bierze władzę w swoje ręce. I znowu posłuchajmy, co pisał później Traugutt o powodach swojego kroku:

„Widzieliśmy stan okropny i rozpaczliwy... Pamiętaliśmy o tym, że władza jest u nas aktem poświęcenia, a nie ambicji i że poświęcenia tego odma-
wiać Ojczyźnie nie możemy, kiedy widzimy konieczność...”

Dyktator nie utworzył nowego rządu, lecz powołał do życia wydziały. Sprawy wewnętrzne otrzymał Rafał Krajewski, (po nim prof. Dybek), zagraniczne — Henryk Krajewski, wojny — Józef Gałęzowski, skarbu — Józef Roczniński, prasy — Stanisław Krzemiński. Inne ważne posterunki objęli przy dyktatorze: Wacław Przybylski, Marian Dubiecki, Aleksander Waszkowski i Józef Janowski. Pod względem wojskowym oparł się Traugutt na Hauke-Bosaku, Zygmuncie Chmieleńskim i innych przywódcach o duchu demokratycznym.

Zamieszkawszy pod nazwiskiem Michała Czarneckiego w pokojach umeblowanych Heleny Majewskiej - Kirkorowej, byłej aktorki, oddanej całym sercem sprawie powstania, Romuald Traugutt postanowił wskrzesić gasnące powstanie. Tam właśnie, na Dolnej Smolnej, z kamienną wytrwałością, pracując od świtu do nocy, odnowił całą organizację narodową, uporządkował mnóstwo spraw zaniedbanych i zajął się pilnie siłami zbrojnymi, które właściwie od początku puszczono byty samopas, niejako na los szczęścia lub czyjeś przypadkowej inicjatywy.

Znamieniem głównym tej dyktatury była wiara w zwycięstwo bez obcej pomocy. Osiągnąć je zamierzał Traugutt przez nadanie organizacji tajnego rządu jednolitości, przez odpowiedni dobór ludzi na stanowiskach kierowniczych, przez utworzenie regularnego wojska, a przynajmniej jego kadr, a także przez nadanie systemu i metody samej walce, prowadzonej dotychczas chaotycznie. Wreszcie dekrety Traugutta surowo nakazywały wprowadzenie w życie uchwał o uwłaszczeniu chłopów i ustanowiły specjalne sądy, karzące ziemian za niesza-

nowanie praw ludu do ziemi. Jeżeli dodać tu jeszcze nawiązanie utraconej łączności i sojuszu z rewolucjonistami włoskimi i węgierskimi, to okaże się, że Traugutt niemal całkowicie nawrócił do pierwotnej rewolucyjnej koncepcji powstania Sierakowskiego, Dąbrowskiego, Szwarczego, Padlewskiego, Bobrowskiego i Potiebn. Prawo ludu do ziemi stanowiło szczególną troskę:

„...Kto by się zaś odważył w czymkolwiek te prawa (nadane ludowi — przyp. autora) gwałcić, ma być uważany za wroga Ojczyzny i to za wroga gorszego od Moskala i Niemca” — pisał w jednej z odezw dyktator. Łączyła się z taką postawą decyzja zwrotu państwa polskiego, które rzuci uzbrojone masy chłopskie przeciwko zaborcom i opornym dworom. Dubiecki stwierdza, że dyktator „nie wahał się powołać masy do powszechnego powstania, na ich przewagę, jako na siłę niczym nieprzepartą, licząc...” Do wojska Traugutt wołał:

„Pamiętajcie, że powstanie bez ludu jest tylko wojskową demonstracją w większych lub mniejszych rozmiarach, z ludem dopiero zgnieść wroga możemy, nie troszcząc się o żadne interwencje, bez których oby Bóg miłosierny pozwolił nam się obejść”.

„Woła jest Rządu Narodowego, abyście zwrócili szczególniejszą bacność i gorliwość waszą ku doprowadzeniu do ścisłego i serdecznego porozumienia się i zbratania z ludem”.

Tymczasem car skierował na ziemie polskie ponad 400.000 wojska. Klęska na polach bitew, ustawiczne aresztowania w szeregach organizacji, ogłoszenie przez rząd austriacki stanu wojennego w Galicji, a wreszcie dążenie magnaterii i sporej części szlachty oraz mieszczaństwa do ugody z caratem — to wszystko niezmiernie utrudniało olbrzymie zamierzenia. Romuald Traugutt heroicznie i pracowicie znosił jeden cios za drugim, niezłomnie trwając na swoim posterunku do końca. Aresztowano go dnia 11 kwietnia 1864 roku, wskutek zdrady.

„Na parę dni przed aresztowaniem połączono mi wręczyć Trauguttowi paszport zagraniczny, aby mógł uciec. Odmówił” — pisze w swoim pamiętniku Teodora z Heurichów Kiślańska, kuzynka Szwarczego, młodzieńca wówczas, lecz wybitna działaczka organizacji podziemnej.

Dnia 5 sierpnia 1864 roku Traugutt, przerażająco spokojny, jechał z czterema towarzyszami na śmierć. Skazanych wieziono na pięciu wózkach używanych do wywożenia gnoju. O trzydzieści kroków przed rusztowaniem ustawionym na stokach Cytadeli odczytano im wyrok. „Najmniej zważał na odczytywany wyrok Traugutt. Nie przestawał ani na chwilę rozmawiać z towarzyszącym mu księdzem, i widocznym było, że... nie o przyszłym życiu była tam mowa!...” — notuje świadek egzekucji Berg.

Pośród rozchodzących się z miejsca kaźni zrozpaczonych mas ludności warszawskiej wydarzyły się tego dnia wypadki nagłych skónów: serca nie wytrzymały.

Znikł w roku 1944 dom przy ulicy Dolnej Smolnej, z którego Romuald Traugutt kierował walką wyzwolenia narodu polskiego. Wraz z domem znikła również stara tablica pamiątkowa. Należałoby teraz w tamtym miejscu, u stóp Muzeum Narodowego, ustawić nowy znak pamiątkowy. Podobnie domaga się uporządkowania teren na stokach Cytadeli, gdzie 90 lat temu dokonał życia hartowny i pracowity, a zarazem skromny bojownik o wolność naszego narodu.

STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ

CO TO JEST SYSTEM WM

(*) System WM w jego pierwotnej formie, ujęty w schematyczne i ściśle określone ramy, narodził się przed kilkunastu laty w Anglii. Myślą przewodnią nowego wówczas systemu było całkowite zabezpieczenie własnej bramki przed agresywnością napastników przeciwnej drużyny. Na dalszy plan odsunięto wtedy zamiary zaczepne — szło głównie o to, by tracić jak najmniej bramek. Ojcem nowego systemu był trener i menażer najbardziej popularnej w Anglii drużyny, Arsenalu — Jimmy Hogan. On to wpadł na pomysł, by własnej bramce zagwarantować maksimum bezpieczeństwa i wprowadził tak znaną już dziś na całym świecie zasadę WM. Litera W oznaczająca taki sposób gry odzwierciedlają pierwotny i dziś jeszcze częstokroć stosowany sposób ustawiania się graczy linii ofensywnych i defensywnych. Litera W rysuje nam obraz zajmowania stanowisk przez napastników (trzech wysuniętych do przodu i dwóch cofniętych asekurantów) — litera M obrazuje sytuację w liniach pod bramką. Wierzchołki jej tworzą pomocnicy (którzy są łącznikami między zajęciami obronnymi i ofensywnymi), a podstawę boczni obrońcy oraz podpora tego systemu — środkowy obrońca, który wraz z bocznymi obrońcami jest ostatnią instancją utrudniającą dostęp do własnej bramki.

OBRONA I

NA MIEJSCACH prasowych padały co chwila nabrzmiałe zachwytem uwagi!

— Co za doskonała obrona! Co za wspaniały i porywający atak!

A więc obrona i atak równocześnie?

Tak! Gra węgierskich piłkarzy jest tak pełna poletu, niespodziewanych a wielkich improwizacji, że publiczność (a także przeciwnikowi) — trudno się zorientować, kiedy Madziarzy bronią własnego przedpoja, a kiedy rozpoczynają akcje ofensywne.

Tak było m. in. w czasie meczu Brazylija — Węgry. W okresie największej przewagi Brazylijczyków, kiedy wszystkim na trybunach wydawało się, że wyrównująca dla nich bramka jest tylko kwestią minut, Węgrzy przeszli w pewnym momencie do szybkiego kontrataku. Nie była to nawet w normalnym tego słowa znaczeniu kontrofensywa. Był to dalszy ciąg tej samej gry, która, mimo cech obronnych, była z góry obliczona na zwycięskie wymanewrowanie przeciwnika.

Niebył daleko od własnej bramki Lorant, Bozsik, Csibor, Hidegkuti i Kocsis rozegrali szachową rozsadę, w wyniku której nastąpił za kilkanaście sekund niezawodny strzał Kocsisa do brazylijskiej siatki. Węgrzy strzelili czwarty punkt i mieli zabezpieczone zwycięstwo 4:2.

Taki jest nowoczesny football! Szybki jak błyskawica, poparty doskonałym wyszkoleniem technicznym i kondycyjnym oraz celnymi, mierzonymi do centymetrów strzałami na bramkę. Wszystkie te cechy posiada przede wszystkim drużyna węgierska i dlatego, mimo niefortunnego porażki Węgrów z Niemcami zachodnimi, cała krytyka fachowa uważa Madziarów za moralnego mistrza, za bezsprzecznie najlepszą jedenastkę w świecie.

Na wskroś nowoczesna gra węgierskich piłkarzy, poparta wyszkoleniem technicznym doprowadzonym do wirtuozostwa i szybkością, świeciła przez cztery lata triumfy na boiskach całej Europy. W Wembley Węgrzy wyrócili do góry nogami cały, uznawany przez Anglików jako jedynie skuteczny, system ich gry, wykazali całą jego skostniałość, jeśli nie

WIDZIELIŚMY ICH NA SPARTAKIADZIE

Rys. JULIAN ŻEBROWSKI

GRABOWSKI

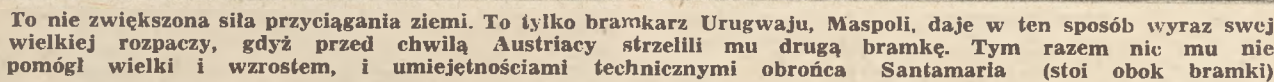


CHROMIK



TOLKACZEWSKI





martwość. Więcej jeszcze... Udowodnili oni, że żaden system, stosowany bezdusznie, schematycznie, w myśl sztywnie ustalonych prawideł, nie ma racji bytu w piłkarskim świecie.

Nie sądźmy jednak, że Węgrzy są wrogami wszelkich systemów. Węgrzy przejęli również wynalazcy albo — jak kto woli — wymyślnicy przez Anglików system WM. Z tą tylko różnicą, że w ciągu kilku lat uzupełnili go tak wieloma „dodatkami”, tyłoma pomysłami, nowościami, że przestał to już być system WM. Ich zeszlachoczny pojedynek z niezwykłymi przez lata całe Anglikami do złudzenia przypominał walkę odzianego w średniowieczną zbroję rycerza z uzbrojonym w karabin maszynowy przeciwnikiem. Tym średniowiecznym rycerzem byli, rzecz jasna, Anglicy. W ich grze był tylko szablon WM — nie było tego elementu twórczego, który przede wszystkim cechuje Węgrów.

A jak było na boiskach Szwajcarii? Rzecz charakterystyczna: inne drużyny usiłują naśladować Węgrów. Prawie wszystkie zespoły V Mistrzostw świata zerwały przede wszystkim z angielską dewizą, która głosiła, najpierw do bramki, a dopiero następnie atak na bramkę przeciwnika. W Szwajcarii byliśmy świadkami triumfu nowego, ofensywnego stylu gry. Cały też mistrzowski turniej zyskał sobie miano ofensywnego.

I niech nikogo nie dziwią takie dane: w finałowych pięciu spotkaniach Węgrzy zdobyli 27 bramek, Austriacy 17, a Urugwajczycy 16 bramek. Niemcy na 6 spotkań strzelili 25 bramek. Nie bawiono się w tysiące kombinacji, strzelano z każdej nadarzającej okazji i strzelano w dodatku celnie.

Jak dalece forsowana jest gra ofensywna, świadczyć może następujący przykład. W pierwszym spotkaniu Węgry — Niemcy zach. w Bazylei kapitan drużyny węgierskiej Ferenc Puskas został kontuzjowany przez Liebricha i musiał opuścić boisko. Niemcy uzyskali w ten sposób liczącą przewagę i Istlnalo prawdopodobieństwo, iż od tej chwili przebieg gry ulegnie radykalnej zmianie na korzyść Niemców. Co robia Węgrzy? Czy ścigają wszystkie siły do obrony i grają na utrzymanie wyniku 5:1? Nic podobnego!

Aby nie oddać inicjatywy przeciwnikowi, aby nie zmniejszyć swej siły bojowej Bosisz przechodził z pomocy do ataku, jego miejsce zajmuje środkowy obrońca Lorant, a stanowisko Loranta obejmuje bramkarz Grosics. Węgry ani dbali o to, że Niemcom mogą się udać dalekie strzały ponad Grosicsem. Udały się im istotnie. Uzyskali dwie bramki, których w normalnych warunkach nigdy by nie zdobyli. Ale bramki te nie miały istotnego znaczenia wobec trzech dalszych strzelonych przez Węgrów.

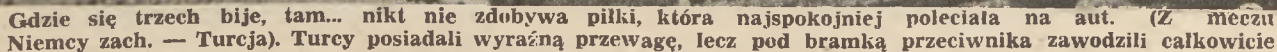
No i Węgrzy grali do końca na normalnych obrotach, zdobywając sobie ogólne uznanie ekspertów piłkarskich całego świata.

Czy taki sposób gry jest zawsze skuteczny i czy można go zalecić wszystkim bez wyjątku drużynom? W meczu Węgry — Niemcy zach. był on słuszny i celowy, co nie znaczy bynajmniej, że każda drużyna może zrezygnować z bramkarza dla wzmocnienia linii ataku.

wznowienia finał ataku. Wreszcie jednakże charakterystycznym dla nowego stylu gry jest zaniekanie podziału w zespole piłkarskim na atak i pomoc. We wszystkich spotkaniach mistrzowskich oglądaliśmy przeważnie atak całą siódmką, by za chwilę zobaczyć tych samych graczy w akcji obronnej. Najdalej do przodu są oczywiście wysunięci skrzydłowi, ale i oni opiekują się wtedy pomocnikami albo łącznikami przeciwnika, a nie stoją beczynnie, jak to dotychczas praktykowano.

Taka jest mój więcej droga rozwojowa nowoczesnego footballu. Pędzą po niej obecnie wszystkie niemal piłkarskie drużyny świata i to w tempie przyspieszonym. Tyfko wóz z naszym piłkarstwem (taki – jak dotychczas – „w przyrodzonym rowie”, wypędzony prawie przez wszystkich. Zadaniem kierownictwa polskiego footballu jest wygnać tego „wóz” na środek drogi i wszędzie natychmiastowego pościgu za oddalającą się czołówką.

TADEUSZ BAGIER



ZNAKI ZAPYTANIA

NIE MOŻEMY się pochwalić wynikami w chodzie. Konkurencja ta nie nabrała u nas popularności. Nie widzę powodu do rozpacz. Zawsze, ilekroć oglądam chód sportowy, ogarniają mnie wątpliwości co do celowości tego wyczynu.

Chłędowski opowiada w pierwszym tomie swoich „Pamiętników“ o szlachcicu, który polowaniem i długimi marszami tak sobie nogi popsował, że na starość nie mógł chodzić. Po czym dodaje z niewinną minką: „lubił też wódkę i kobiety“. Nie chciałbym się posuwać tak daleko jak Chłędowski i naprawdę nie mam wątpliwości co do tego, który rodzaj „sportu“ zaszkodził owemu szlachcicowi. Ale czy chód, ten sportowy, wpływa dodatnio na organizm? Oto pierwszy znak zapytania.

Co innego wojskowy marsz. Ten nie tylko nie szkodzi, ale, przeciwnie, hartuje i zaprawia do trudów. Bo jednak jest to chodzenie. Co innego też marszobieg, gdzie odcinki marszu krzyżują się z odcinkami biegu. Obie te postawy są naturalne. Uprawianie marszobiegu daje kondycję. Ale chód?

Kiedy człowiekowi bardzo dokądś pilno — coś robi? Bierze taksówkę — albo przyspiesza kroku. To ostatnie okazuje się czasem niewystarczające. Wówczas następuje zgięcie kolan, oderwanie jednej stopy od ziemi zanim jeszcze druga jej dotknie. Lot! I to jest właśnie bieg, i to jest naturalne i zdrowe.

Chodźiarzom — i trzeba to sobie powiedzieć z całą otwartością — także się śpieszy. Jeszcze jak! Pilno im do mety. Cóż to dla nich znaczy to nikle tempo, w jakim przeprowadzany jest chód? Jakże chętnie by sobie pobiegli! Troszkę poderwać się do lotu i miałyby się przeciwnik z pyszna. Ale nie wolno, tu się chodzi! I stąd te łamańce stosowane przez zawodników, stąd te dziwaczne wygibasy, które budzą szczery śmiech na widowni. Publiczność bawi się doskonale! A zawodnicy? Czy takie wstrzymywanie odruchów naturalnych może być z pożytkiem dla organizmu? I co to ma wspólnego z chodzeniem? Któż, u diabła, na świecie tak chodzi?

Na Festiwalu w Bukareszcie miałem możliwość przyrzec się czołowcz chodziarzy świata, ze słynnym Dołężalem i Junkiem na czele. Upał był potworny. Ale jeśli bieg na 10 kilometrów minął bez incydentów, to choć na 10 kilometrów obitował w wypadki omdleń i załabnięć. Między innymi zemdliał sam Junk, zdobywca brązowego medalu w Helsinkach. Konkurencja ta okazała się bardziej wyczerpująca niż maraton.

Są to wszystko, rzecz jasna, nieśmiało uwagi człowieka z widowni. Naprawdę do powiedzenia mieliby coś lekarze, szczególnie lekarze sportowi. Ale ci dość niechętnie zabierają głos na łamach prasy. Doktor Zajączkowski, który kilkakrotnie odezwał się na łamach „Sportowca“, jest tu chwalebny wyjątkiem. Myślę, że poinformować nas o tym, jak to naprawdę jest z tym chodem, mogliby jeszcze i zawodnicy. Bo co sądzić o stronie estetycznej tego widowiska — wiemy. Strona sportowa pozostaje do wyjaśnienia.

A teraz wątpliwość z całkiem innej beczki. A właściwie sprawa, która nie budzi, przynajmniej we mnie, żadnych wątpliwości. Niektóre pokazy masowe podczas Spartakiady próbowały pomagać sobie „słowem mówionym“. Nie mówię już o tym, że jest to chwyt niedozwolony; czego się nie da wyrazić nachyleniem tułowia w lewo lub wyprostem rąk wprzód, nie naprawi się najlepszą nawet poezją. Ostatecznie to gimnastyka, a nie teatr. Ale kierownicy niektórych zrzeszeń chcieli, żeby wypadło bardziej „ideowo“. I poczęstowali nas przez głośniki taką grafomanią, od której uszy puchły. To nawet nie była grafomania, bo grafoman może przynajmniej wiedzieć, co to jest uczciwy rym, ale najzwyklejsza amatorszczyzna. Wypędzona ze szpalt pism, z radia i z teatru — uwiliła sobie gniazdko w sporcie. Dziesięć tysięcy widzów obserwujących pokaz „Zrywu“ zmuszono do wysłuchania najgorszych wypocin, które, mam nadzieję, obniżyły notę za widowisko. Nie wątpię o tym, bo w składzie jury był Kazimierz Rudzki, a on się na tych sprawach zna.

Ostatnio mówi się wiele o związkach literatury ze sportem. Jeśli tak to ma wyglądać jak na Spartakiadzie, to dziękuję. Wole nie

KARDYNAŁA

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI

6 września roku 1953 Konrad Adenauer umocnił swoją władzę w utworzonym przez Waszyngton państwie zachodnio-niemieckim. Tego dnia uzyskał bowiem parlamentarną większość w Bundestagu bońskim. To, co udało mu się przy pomocy Wall Street po klęsce Hitlera, nie powiodło mu się po upadku cesarskich Niemiec, kiedy jako młody nadburmistrz potężnej Kolonii usiłował przy pomocy imperialistów francuskich odzyskać Nadrenię i Westfalię od Rzeszy i obwołać siebie prezydentem marionetkowej „Republiki Reńskiej”, modelu dla powstającej po trzech bez mała dziesiątkach lat — Trizonii.

Opowiadanie nasze zajmuje się właśnie tym okresem w życiu człowieka, którego działalność skierowana była zawsze nie tylko przeciwko narodowi niemieckiemu, ale i przeciw pokojowi w Europie. Podobnie jak dzisiaj montuje on w Europie blok przeciwko krajom pokoju,

werbując do swoich regimentów siły najczarniejszej reakcji, tak i w latach zaraz po pierwszej wojnie stał się on ośrodkiem „kolońskiego klanu”, mobilizującego w Niemczech i w zachodniej Europie wszystkie wsteczne siły na rzecz interwencji przeciwko „czerwonemu Berlinowi”, przeciwko ZSRR.

Wszystkie fakty i zdarzenia, jakie będą niżej opowiedziane, zaczerpnięte są z dokumentów i książek, m. in. z Alberta Nordena: „Um die Nation“, dr Pecka „Konrad Adenauer“, Dikreiter-Verlag (bez autora) „Der Bundeskanzler“, M. Berger i P. Allard „Hinter den Kulissen des Versailler Vertrages“, Ernsta von Salomon „Der Fragebogen“, Kurta Pritzkoleta „Maenner, Maechte, Monopole“, G. Baumanna „Eine handvoll Konzernherren“, Wernera Naumanna „Nau-Nau gefaehrdet das Empire?“.

PROLOG

W POGODNY majowy poranek roku 1950, autostradą z Bonn do Kolonii sunie wielki „Mercedes 300“. W aucie siedzi dwu żywo rozprawiających księży, obok szofera — młody kleryk. Droga z Bonn do Kolonii — samochodem pół godziny — jest wyjątkowo piękna. Szeroki Ren biegnie niemal równolegle do szosy, a w blasku porannego słońca woda jego mieni się szmaragdem. Barki węglowe suną wolno środkiem królowej niemieckich rzek, a przewoźnicy opalają się na pokładzie. Kępy i zielone wysepki na Renie pozwalają turystom z całego kraju podziwiać starorzeczne ruiny i biskupie zamki, położone na kolońskiej trasie.

Kiedy nasze auto zakręca pod Luelsdorf, z daleka widać już sylwetkę potężnego tumu — symbolu Kolonii. Księża nakładają kapelusze — przestają gestykulować. Gotyckie wieże kolońskiej katedry przypominają o czekających obowiązkach. Samochód zbliża się do rogatki miasta. Gości z Bonn witają najprzód zrujnowane domy robotnicze, później świeżo wybiełone wille panów tego miasta, następnie drogę do śródmieścia otwiera im naprawiony niedawno most Hohenzollernów, który w ostatnim dniu hitlerowskiej Kolonii kazał wysadzić w powietrze gauleiter Grohe. Mercedes jest już na lewym brzegu Renu. Za chwilę przejedzie Nowy Rynek, dworzec główny, aby zatrzymać się na placu przed katedrą. Auto parkuje dyskretnie w cieniu starych lip, podczas

gdy księża chroniąc kapelusze przed wiatrem, udają się wolnym krokiem na poranną mszę...

Opodal renesansowego ratusza, ongi siedziby Hanzy, leży w obszernym parku pałac arcybiskupa, którym władał dzisiaj Josef kardynał Frings, pierwszy książę kościoła w zachodnich Niemczech. Tradycja sięgająca jeszcze czasów Karola Wielkiego, przydaje włodarzowi rezydencji kardynalskiej jeszcze jeden tytuł: łącznika episkopatu z Rzymem (Erzkanzler fuer Italien), a tym samym czyni arcybiskupa Kolonii mężem zaufania Watykanu.

Można więc zrozumieć wzruszenie księży z Bonn, gdy pokłoniwszy się Panu Bogu w prastarym tumie, stanęli niby pątnicy przed portalem arcybiskupiego pałacu... Nie pierwszy raz tutaj bywali, cieszyli się nawet względami kardynała, wieźli mu tym razem wesołą nowinę, a przecież było im jakoś nieswojo. Kardynał, drobny, szczupły starzec miewał kaprysy! Ho, ho i jeszcze jakie!

Tymczasem kleryk zajął się sprawą etykiety. Szepnął coś do ucha furtianowi, który szybko znikł za purpurową kotarą. Nasi goście usiedli na szerokich zydlach, nie pierwszy raz spoglądając na długi rząd ciemnych malowideł, wypełniających wszystkie ściany refektarza. Były to konterfekty dawnych panów tej rezydencji, od Engelberta von Falkenburga, który w wieku XIII uciekł przed gniewem mieszczan do Bonn, aż do kardynała Hartmanna, który w XX w. ukorzył się przed Wilhelmem II.

Zadumę księży przerwały szybkie kroki otyłego zakonnika, których echo słychać było na galerii.

— Ależ kochani bracia, proszę bliżej, bliżej — zawo-



Adenauer udaje się na audiencję do papieża Piusa XII, zwanego „niemieckim papieżem“. Będą rozmawiali po niemiecku, jak z wyraźną satysfakcją napisze o tym później bońska prasa.

łał majordomus kardynała Fringsa, ojciec Callistus Siemen — Eminencja bardzo się ucieszy...

Obszerne schody prowadziły do wielkiej sali recepcyjnej, gdzie odbywały się po wojnie posiedzenia niemieckiego episkopatu. Księża szli dostojnie w stronę małego pokoju, gdzie rezydował polityczny doradca kardynała, ks. prałat Boehler. Prałat powitał gości bardzo serdecznie. Oznaczało to, że kardynał jest dzisiaj w dobrym humorze... Księża odetchnęli z ulgą.

— Jego Eminencja — powiedział prałat Boehler — jest już powiadomiony... Dziś rano był telefon od kanclerza z Palais Schaumburg. Powiem wam prywatnie, kardynał rad jest z tego związku. Węzły przyjaźni związane zostaną stulą. Długo czekaliśmy na to... Ale pora już wejść.

Ruszyli przez małą alkowę w stronę wysokich drzwi dębowych. Ojciec Siemen uchylił prawie bezszelestnie ciężkie kotary.

Goście skłonili się pokornie. Kiedy wyprostowali się, ujrzeni za szerokim stołem drobną postać, której ptaśnią głowę okalała purpurowa piuska. Na stole stał krzyż i portret Piusa XII.

— Wasza Eminencjo — przerwał kłopotliwą ciszę prałat Boehler — oto i nasi wystannicy: ks. prałat Franz Werhahn i ks. Paul Adenauer...

Księża podeszli do kardynała i kolejno ucałowali biskupi pierścien.

Nim usiedli na wygodnych fotelach, ojciec Siemen zapytał prałata Boehlera czy ma podać wino.

Nie dokończył jeszcze, kiedy kardynał zawołał: — I to dobre, bo dobrą nowinę przynoszą mi moi synowie...

Kardynał Frings szcudrobliwie rozdał błogosławieństwa i order papieskie, zwłaszcza jeśli służą jego politycznym ambicjom. Nadając order św. Grzegorza klerykalnemu radcy szkolnemu, głowa niemieckiego episkopatu patrzy nie w stronę odznaczonego, ale prosto w aparat fotograficzny. Świątobliwy mąż zna bowiem amerykańskie zasady reklamowe...



8.X.1953 Adenauer został po raz drugi kanclerzem bońskim. W czasie głosowania w Bundestagu na galerii znalazła się w pierwszym rzędzie cała rodzinka dyktatora — jak widać na zdjęciu — mało interesująca się przebie-

A zwracając się w stronę gości, dokończył:
— Mój kochany Konrad dzwonił już do mnie rano.
Wiem o wszystkim, ale mówcie sami!
Ks. Adenauer zaczął:

— Moja siostra Libeth wychodzi za mąż za Hermanna Josefa Werhahna. Nasze obie rodziny proszą Ciebie, Eminencjo, abyś ten ślub zaszczycił swoją obecnością. Abyś pobłogosławił nasze rody, które znasz jak swój własny...

— Powiedz ojcu, mojemu kochanemu Konradowi — a i ty powtórz swemu — rzekł kardynał zwracając się w stronę pralata Werhahna — mojemu kuzynowi Wilhelmowi, że to będzie dla mnie wielki dzień. Przyjadę i pobłogosławię młodą parę. Przecież tego dnia zjednoczą się węzłem powinowactwa trzy rody, o których mówi nasza historia...

Dzwony kołońskiego tumu były głucho na majowe nabożeństwo. W gotyckiej komnacie kardynała panował już półmierzch, kiedy ojciec Siemen zamykał dębowe drzwi za gośćmi z Bonn. Kardynał Frings w asyście pralata Boehlera udał się na modły do pałacowej kaplicy. Mercedes „300“ zapuścił motor i pomknął błyskawicznie w stronę mostu Hohenzollernów. Na Renie zawijały do miejskiego portu pierwsze statki powracające z majówki. A na Nowym Rynku gazeciarze wydzielali się na całe gardło:

„Adenauer odwołał wyjazd do Paryża... Córka kanclerza wychodzi za bankiera Werhahna... Frings na uczcie weselnej...”

1.

W DELCIE rzeki Erft, opodal ujścia do Renu, w cieniu prastarej katedry leży miasteczko Neuss. Tramwaj i piękna szosa prowadzą do Duesseldorfu. Miasteczko to, liczące blisko siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, pamięta jeszcze czasy rzymskie, kiedy to cesarz August założył kolonię wojskową — Colonia Claudia Augusta Agrippina — w miejscu, które od dwóch tysięcy lat nosi nazwę miasta Ko'onia. W pobliżu Neuss w tym czasie centurie cesarza odbywały manewry na lewobrzeżnych polach dolnego Renu. Jeszcze dzisiaj, gdy spadnie mocny deszcz, dzieci z Neuss szukają nad rzeką miedzianych monet, które zgubili legionści i kupcy rzymscy w wyprawach na Germanów.

Miasteczko Neuss na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym szczególnym. Jest zniszczone jak wiele innych miast w Nadrenii: gdzieś tam tylko widać odbudowę. Intruza, który przedostał się na Rynek, witają niezbyt życzliwie szare ulice, zapuszczone domy, zaniebane sklepy, piaskowe spichrze, opustoszałe na pozór magazyny oraz przechodnie, którzy dają mu do poznania, że jest tutaj obcym. Ale jeśli dłużej w mieście pomieszkasz, zajść czasem pod „Złotego Lwa“ na kufel dortmundzkiego piwa, co pianę ma szerokości pastorkowego kołnierza, pogadać z właścicielem hotelu „Stern“ i raz jeden tylko ogolić się u Bauma na Neumarktzie, a już wszystko staje się jasne. I takie oczywiste.

Neuss — to miasto kilku magnackich fortun w Nadrenii. To kolebka rodu Werhahnów, Fringsów, Thywisenów, Jostenów i innych fabrykantów margaryny, olejów, farb, mebli, żelaza, stali i węgla brunatnego. Od przeszło dwóch wieków patrycjusz miasta Neuss dzierży magnackie fortuny, choć wywodzą się z wojskowych reńskich, co ongi wadzili się z królami oraz biskupami Kolonii i Trewiru. Żyje w Neuss jeszcze legenda, jak to cechy miejskie przepędziły z Neuss Karola Śmiałego, arcybiskupowi zaś Kolonii pokazały figę, kiedy się domagał większego świętopietrza...

O tym powiada legenda. Ale kronikarz ostatniego wieku notuje bardziej rzeczywiste dowody mieszczańskiej pychy. Powiada on o bogactwie rodziny Werhahnów i ich krewniaków Fringsów, z których dwaj ostatni przedstawiciele po mieczu — to arcybiskup Kolonii, kardynał Frings i nadburmistrz miasta Neuss, jego rodzony brat — Alfons Frings, współwydawca klerykalnej „Rheinische Post“.

Balszy ciąg nastąpi

giem głosowania. Od lewej siedzą: ks. Paul Adenauer, Lotte Adenauer, Maria Adenauer z jej mężem Walterem Reinersem, Libeth Adenauer z jej mężem bankierem Hermannem Josefem Werhahn



SWIAT

o tym wie!

JESZCZE JEDNA HECA ODWETOWA



Hitlerowscy piraci pod-morscy urządzili sobie ostatnio w Hamburgu wielki zlot, na który zjechało się około 2 tysięcy oficerów, podoficerów i marynarzy z niemieckich łodzi podwodnych. Rozwinięto hitlerowską „Reichskriegsflagge“ (flagę wojenną Rzeszy), wspomniano z rozręznieniem dawne dobre czasy, kiedy zatapiało się na oceanach statki wraz z pasażerami i załogą, i śpiewano pieś-

ni z tamtych lat. Pod koniec zaś wysłano depeze do zachodnich władz okupacyjnych z żądaniem jak najszybszego zwolnienia z więzienia w Spandau dwóch ober-piratów hitlerowskich, Raedera i Doenitza, cdsiadujących tam z wyroku Trybunału Norymberskiego karę za zbrodnie wojenne. Typowa zachodnio-niemiecka heca militarystyczna i odwetowa.



ZŁOTODAJNY PODRĘCZNIK

Ludzie w Ameryce dzielą się — jak wiadomo — na bogatych i biednych. Bogaci to tacy, którzy swą energią, pracowitością, oszczędnością, przedsiębiorczością i innymi cnotami dorobili się dobrze zasłużonych majątków. A biedni — to po prostu niedołęgi, leniuchy, gamonie, którym się nie chce ciężwie pracować i dlatego — do brze im tak — klepią biedę. Tak to przynajmniej wygląda w życiowej filozofii, głoszonej przez prasę, film i szkołę amerykańską. I oto teraz znalazł się wreszcie wielkoduszny dobroczyńca, który postanowił wybać owoch leniuchów i niedołęgów, wskazując im drogę z bogacenia się. Napisał bowiem książkę pod tytułem, który mówi sam za siebie:

„ZBOGAĆ SIĘ W BREW SAMEMU SOBIE“

Znaczy, jeśli ci się nawet nie chce — możesz się z bogacić, idąc za

wskazówkami niejakiego Mr. Louisa M. Grafe'a, który, jak wynika z reproduktowanego tu prospektu, wynalazł „najbardziej zdumiewającą formułę zdobywania majątku i sukcesu, opartą na naukach Biblii i rozwinętią w czasie, kiedy autor sam zrobił cztery fortuny“.

Cztery fortuny — to nie byle co i wcale się nie dziwimy, że „technika Grafe'a natchnęła dziesiątki tysięcy ludzi, a jego książka została zakupiona w pokażnej ilości egzemplarzy przez licznych i znanych przedsiębiorców amerykańskich celem rozdania jej robotnikom“.

Jedno tylko w tym wszystkim wydaje nam się nieco podejrzanę: że przedsiębiorcy tak chętnie obdarowują dziełkiem Mr. Grafe'a swych pracowników. Czy aby nie po to, by się z bogacić kosztem obdarowanych?

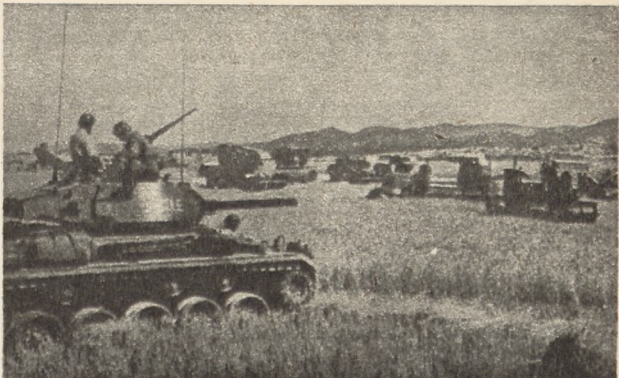
SELANKA W TUNISIE

Zdjęcie, które reprodukuje, przedstawia charakterystyczną scenkę z dzisiejszego Tunisu, z kraju, który tygodnik amerykański „Time“ określił niedawno jako „dotychczas dość spokojny“.

Jest to fragment... zniw. Odbywają się one, jak widać wyraźnie, pod opieką ni mniej, ni więcej tylko... czołgów. Czołgów nota bene amerykańskiego pochodzenia (typ „Patton“).

Karabiny maszynowe pilnują czujnie, by się francuskim plantatorom, od lat wyzyskującym miejscową ludność, nie stało przypadkiem coś złego. Ludność bowiem wybitnie zaczyna nienieć francuskiej „opieki“ dosyć.

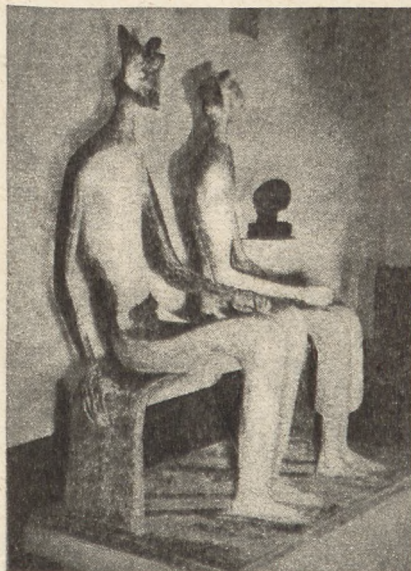
Jeśli takie „środki ostrożności“ kolonizatorzy stosują w „spokojnym“ Tunisie — to jak wyglądać musi sytuacja w relatywnie mniej spokojnym Maroku czy Algierz?



KRÓL I KRÓLOWA

Rzeźba Henry Moore'a p.t. „Król i królowa“, wystawiona ostatnio w Londynie, nie wywołała zachwyty wśród zwolenników obecnego ustroju

państwowego w Anglii. Nie jesteśmy wprawdzie monarchistami, ale w tym wypadku gotowi jesteśmy zgodzić się z ich opinią...



Over 170,000 copies already sold! — Now available to booksellers for the first time

GET RICH in spite of YOURSELF by Louis M. Grafe

Through his own efforts, the author of this famous success formula has sold over 170,000 copies by mail. The Grafe technique has inspired tens of thousands of readers and this book has been bought in quantity by nationally-known employers to give their workers.

Now, for the first time, this amazing book is available through the usual channels of book distribution, in a handsome new edition. For the first time, you will be able to offer your customers (and you will want to test it yourself) this most amazing formula for wealth and success — based on Bible teachings and developed while the author, himself, was making four fortunes.

Incredible as it sounds, Get Rich in Spite of Yourself is a book you'll SELL in spite of yourself. Display it. Watch your customers buy their first copy — and come back for more! August 13th 5x78 L.C. #54-9886 \$2.00

ORDER DEPARTMENT: ENGLEWOOD CLIFFS, NEW JERSEY IN CANADA: MCKENZIE & STEWART, LTD., 25 HOLLINGER ROAD, TORONTO



jasne oarwy są wspaniałym żerem dla takomych promieni słonecznych.

Idzie człowiek ulicami Warszawy i myśli: ile pieniędzy marnuje się tu codziennie, ile towarów niszczy się i idzie na śmietnik!

A to wszystko z powodu braku markiz. Nie chodzi oczywiście o arystokratyczne damy, które nikomu na nic nie są potrzebne, ani o wcale dobre nadziewane herbacianki, ale po prostu o zwykłe płóciennne daszki chroniące wystawy sklepowe przed słońcem.

— Brak markizy to nasza największa bolączka — skarżyła się Syrenka cała mokra od potu kierowniczką sklepu spożywczego WSS na ul. 11 Listopada. — Słońce zagląda tu nie tylko na wystawy, ale i na półki w sklepie. Po prostu nie ma gdzie chować przed nim towaru.

Podziwiałam ekspedientki, które mimo zmęczenia upałem panującym w sklepie,

czerwone i rozpalone, biegały do „lodowni“ po każdą kostkę masła, byle tylko towar się nie popsul.

W „Wędlinach“ na Nowym Świecie zaczęto po prostu opuszczać w oknach rolety. Nic nie widać? Trudno. Skoro nie ma markiz... Już dość salcesonów, kiełbas i parówek leżących dotychczas na nie zasłoniętej wystawie skazanych zostało na zglądzie.

Na Krakowskim Przedmieściu 16, w jednej z największych i najlepiej zaopatrzonych spółdzielni warszawskich, poradzono sobie systemem radykalnym. Zwyczajnie, uprzątnięto wszystko z wystaw i stoją w czasie upału puste, jak gdyby żywej duszy w sklepie nie było. Trudno. Marnować towaru nie będziemy.

I słusznie. Syrence, gdyby nawet była geniuszem w branży matematycznej, nader trudno byłoby obliczyć, ile wynosi strata, które od lat ponosi nasz handel społeczny — z powodu nie zabezpieczonych przed słońcem okien wystawowych. Nie mniej trudno byłoby mi również obliczyć, ile musiałaby kosztować markizy dla wszystkich sklepów spożywczych, tekstylnych i odzieżowych, których wystawy narażone są na bezpośrednie wielogodzinne działanie promieni słonecznych. Sądję jednak, że zainteresowanym dyrekcjom przedsiębiorstw handlu społecznego posiadającym w ręku wszystkie potrzebne dane, bynajmniej nie byłoby trudno sporządzić taki rachunek. I gotowa jestem złożyć się (o kilo markiz — tych do jedzenia), że koszt założenia markiz nie tylko nie przekracza, ale jest nawet znacznie niższy od warto-



ści towarów, które zepsuły się lub zniszczyły w miesiącach letnich w ciągu ubiegłych lat.

O ile mi wiadomo, a wiedzą o tym z pewnością jeszcze lepiej ode mnie centralne dyrekcje WSS, MHD itp. przedsiębiorstw handlowych, istnieje w handlu i w przemyśle taki pelen treści termin, który się nazywa „amortyzacja“. I wydaje mi się właśnie, że zjawienie markizy, o których marzą warszawskie sklepy, zamortyzowałyby się w krótkim czasie ku ogólnemu pożytkowi i radości.

„Markizo przyjdź!“ — śpiewa latem cała Warszawa. Więc Syrenka pragnie wierzyć, że to romantyczne wołanie nie pozostanie bez echa.

INNE KSIĄZKI

ELIZA ORZESZKOWA — Listy Zebrane — tom 1. Do redaktorów i wydawców: Józefa Sikorskiego, Gebethnera i Wolffa, Franciszka Salezego Lewentala, Wacława Makowskiego, Erazma Piltza, Stanisława Posnera. (Wyd. „Ossoli-neum“, Wrocław 1954, str. 119, zł 30.—).

Olbrymia korespondencja Orzeszkowej, obliczana na 15 tysięcy listów, jest w większości dotychczas nie opublikowana. Niniejsze wydanie, wykorzystujące prace Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej z okresu międzywojennego oraz późniejsze prace prof. J. Krzyżanowskiego, ma objąć w 10 tomach wszystkie znane listy wielkiej pisarki oraz wybór najważniejszych listów jej korespondentów. Korespondencja ta, niezwykle ciekawa, wykracza w duży stopniu poza zainteresowania samych tylko historyków literatury. W ciągu pół wieku Orzeszkowa utrzymywała kontakt korespondencyjny z wieloma wybitnymi ludźmi w kraju i za granicą. Listy jej stanowią więc ciekawy przyczynek do historii kultury Polski pomiędzy powstaniem styczniowym a rewolucją roku 1905. W tomie pierwszym, wydrukowanym bardzo starannie, znajdzie czytelnik również obszerne przypisy, dokładny skorowidz nazwisk i tytułów oraz wiele ciekawych szczegółów z życia autorki.

ELIZA ORZESZKOWA — Zygmunta Ławicza i jego kole- dzy (Spisła Wyd. „Czytel- niki“, str. 216, zł 4.—).

Powieść wydana po raz pierwszy w roku 1882. Tematem książki są losy młodego pokolenia inteligencji polskiej u schyłku XIX wieku.

Zygmunt Ławicz i jego koledzy, uczniowie carskiego gimnazjum, marzą o nauce, pracy społecznej, dalekich odkrywczych podróżach. Odczytując plany takie w ówczesnych warunkach społecznych okazały się nierealne, a młodzi ludzie — nie przygotowani do walki o ich urzeczywistnienie. Złemianin Kaplicki wiecznie będzie się procesował z chłopami i Żydami, Zegzrda — zostanie oficerem-hulaką i karciarzem. Najdłużej i najuporczywiej bronić się będzie przed rezygnacją ze swych planów życiowych fanatycznie oddany nauce Ławicz. Lecz i on w końcu zrezygnuje z bezpłodnych wysiłków w zdobywaniu wiedzy wobec niemożności jej praktycznego zastosowania.

Od tych kapitulantów życiowych odbija wyraźnie postać ich proletariackiego kolegi, Zenona Derszlaka. Ten jedyny spośród nich wypowiedział walkę ustrojowi i poszedł drogą rewolucji.

MIKOŁAJ GOGOL — „Wybór pism“ (Książka i Wiedza) 1954, str. 456, zł 35.—).

Do bardzo starannie wydanego tomu weszły następujące utwory: Wieczory na futorze niedaleko Dikanki, Mirgorod, Martwe Dusze, Rewizor, Ozenek, Newski Prospekt, Nos, Portret, Szynel, Powóz, Pamiętnik wariata.

Interesujący wstęp pióra Natalii Modzelewskiej. Przekładów dokonali: Władysław Broniewski, Jerzy Brzeczowski, Julian Tuwim, Jerzy Wyszomirski.



NOWOŚCI

G. Biały

WŁODZIMIERZ KOROLENKO
Przełożył Ryszard Radwiłowicz

s. 528 zł 15.—

Leon Gomolicki
WIELKI REALISTA
ALEKSANDER PUSZKIN

s. 235 zł 7.—

Paweł Hertz
DZIENNIK LEKTURY

s. 268 zł 7.—

Stanisław Pigoń

SPUŚCIZNA LITERACKA ALEKSANDRA FREDRY

s. 173 zł 8.—

Henryk Markiewicz
PRUS I ZEROMSKI
Rozprawy i szkice literackie

s. 361 zł 12.—

Wilhelm Szewczyk
DRAMATURGIA NIEMIECKA
Szkice literackie

s. 242 zł 7.—

Aleksander Puszkina
DZIELA WYBRANE
T. I — VI (5 vol.)

Przełożyli: L. Belmont, J. Brzechwa, S. Ciesielczuk, I. Despot-Zenowicz, St. R. Dobrowolski, W. Gomolicki, W. Grodzienka, M. Jastrun, L. Lewin, A. Mickiewicz, A. E. Odyniec, L. Podhorski-Okołów, W. Słobodnik, A. Stern, T. Stepiński, W. Syrokomla, M. Toporowski, J. Tuwim, A. Ważyk, F. Wicherki, B. Zyranik. Przypisy opracowali L. Gomolicki i M. Toporowski. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego A. Ważyk. Redaktor odpowiedzialny M. Toporowski.

T. I — WIERSZE. S. 414 opr. plt. zł 10.—

T. II — POEMATY I BAŚNIE. S. 317 — opr. pl. zł 10.—

T. III — EUGENIUSZ ONIEGIN. S. 238 opr. plt. zł 10.—

T. IV — UTWORY DRAMATYCZNE. S. 271 opr. plt. zł 10.—

T. V — OPOWIEŚCI. S. 361

T. VI — CÓRKA KAPITANA. S. 142

V/VI opr. plt. zł 16.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

W sprawie niedostatków organizacyjnych w ośrodkach czasowych pisze do nas wielu Czytelników. Zanim jednak podsumujemy nadesłane już uwagi, oddajemy głos Ob. Janowi Bratkowi z Wrocławia, który pisze m. in.:

„Przeważająca większość pracowników FWP dobrze wywiązuje się ze swych obowiązków. Mogę to śmiało powiedzieć, gdyż już 7 razy byłem na wczasach. Tym bardziej jednak podkreślić należy rażące zaniedbania na tym odcinku w Administracji Domów FWP w Długopolu-Zdroju, gdzie przebywałem na wczasach w czerwcu br.

Wczasowisko Długopole - Zdrój jest pięknie położone wśród zalesionych wzgórz w dolinie Nysy Kłodzkiej u podnóża gór i powinno być wspaniałym punktem wypoczynkowym. Dlatego też zastanowił mnie na samym wstępie narzekania kierownika punktu rozdzielczego (Biura Ewidencji Wczasowiczów) na bardzo słabą frekwencję i niezrozumiałość dla niego niechęć do wyjazdów do tej miejscowości. Wszystko wyjaśniło się w ciągu jednej godziny, po otrzymaniu skierowania do domu wypoczynkowego „Barbara“.

Pomimo że sezon był już w pełni, kierownictwo ośrodka nie pomyślało na czas o przeprowadzeniu w marowym sezonie gruntownej reperacji instalacji wodociągowej. Wskutek czego wczasowicze, aby się umyć, musieli nosić najpierw wodę w małych dzbankach z sąsiednich domów, względnie ze strumyka. Po kilku dniach coś tam naprawiono, po czym woda była, ale tylko... w piwnicy, więc znów wędrówki z dzbanuszkami po ciemnych schodach w celu nabrania wody z brudnych wanien.

W związku z brakiem wody pozatykały się ubikacje, zatruwając powietrze na korytarzach, a nawet w sąsiednich pokojach. Łatwo można sobie wyobrazić panujące tam warunki higieniczne. Poza tym personel sprząający ograniczał swoją czynność tylko do zamiecenia środka pokoju. Miednice do mycia nie były przez okres całego turnusu ani razu szorowane i przez to pokryte były grubą warstwą brudu. Wczasowicze chcieli zrobić to sami, ale brak ciepłej wody i proszku do szorowania stanęły temu na przeszkodzie.

Zupełnie niewykształcony personel kuchenny, nie mając pojęcia o pracy i nie potrafiąc jej należycie zorganizować — przedłużał czas spożywania posiłków, w dodatku w nerwowej atmosferze. Brak świetlicy, gier i zajęć świetlicowych powodował nudy i apatię w dniach nie pogodnych. Dodać należy, że instruktor k. o. Zbigniew Herman przybył dopiero po trzech dniach od rozpoczęcia turnusu. Zresztą cała jego działalność ograniczała się do wydawania książek, poprowadzenia trzech wycieczek oraz... codziennego podawania potraw do stołu. O życiu kulturalno-oświatowym, wieczorkach literackich, świetlicowych itp. nie było w ogóle mowy. Całości zagadnień „po linii k. o.“ dopełniał wiszący w jadalni rozstrójony i charczący głośnik radiowy.

Wybrana z wielkim trudem w takich razach Rada Turnusowa spełniała tylko funkcje administracyjne jako pomoc kierownictwa, jak np. liczenie i wycenianie brakujących rzekomo noży i widelców, otwieranie wieczorem bramy w zastępstwie ciągle pijanego dozorcę itp.

Kierownik Biura Ewidencji na wszelkie zarzuty i zażalenia w tych sprawach potrafił jedynie wygłaszać szablonowe, oklepne slogany o tym, jaką to zdobycz stanowiły wczasy i że winniśmy być wdzięczni itd. itd.

Nad wszystkim do jadalni D. W. „Barbara“ wisi duży, zobowiązujący napis: „Nasz dom świadczy o nas“. Świadczy on rzeczywiście dobitnie i niedwuznacznie.

JAN BRATEK
Wrocław ul. Kollataja 21

ANEGDOTY

MARSZ ŻAŁOBNY

Po śmierci Meyerbeera zgłosił się do Rossiniego siostrzeniec zmarłego i zagrał mu marsza żałobnego, który sam skomponował ku czci sławnego wuja.

— Jak się mistrzowi podobają ten utwór?

— Owszem! To jest bardzo piękne. Jednak przypuszczam, że lepiej byłoby, gdyby to pan umarł, a nieboszczyk, wuj pański, skomponował marsz żałobny. (l.)

ZEZNANIE PODATKOWE

Angielski humorysta Jerome K. Jerome, wypełniając pewnego razu kwestionariusz podatku dochodowego, w rubryce: „Kto jeszcze uczestniczył w przedsiębiorstwie“ napisał:

„Magistrat i urząd skarbowy“. (l.)

FENOMEN

Mascagni, słynny muzyk włoski, znany był z ostrych dowcipów, przed którymi się nikt ustrzec nie zdołał. Pewnego dnia dyrygował próbą opery „Dinorah“ Meyerbeera. Gdy liryczny tenor, który śpiewał partię strzelca, rozpoczął swoją pierwszą arię, maestro zorientował się w tej chwili, że ma do czynienia z niezbyt muzykalnym śpiewakiem. Nie mogąc już dłużej tego znieść, przerwał próbę i zawołał:

— Bravissimo! Pan jest rzeczywiście niezłym fenomenem! Potrafi pan równocześnie przedstawiać i strzelca i psa. (l.)

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wileńska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłódnokowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 443. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-18501 podpisano do druku 4.VIII.54

LENGREN



— Coś mi się zdaje, kochanie, że to prawdziwy...

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE

R. Kofman



Mat w 2 posunięciach

PARTIA NK 119

grana w IV rundzie turnieju strefowego w Pradze

Obrona królewsko-indyjska

Białe: Olafsson (Islandia)

Czarne: Ciocaltea (Rumunia)

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 g7-g6 3. g2-g3 Gf8-g7 4.

Gf1-g2 0-0 5. Sb1-c3 d7-d6 6. Sg1-f3 Sb8-d7 7. 0-0 e7-e5 8. e2-e4 9. Sf3-d4 Sd7-c5 10. h2-h3.

Obok ostatniego posunięcia białych stosowane jest również 10. f3. Które z nich jest lepsze — teoria jeszcze nie zdecydowała.

10... Wf8-e8 11. Wf1-e1 a7-a5 12. Hd1-c2 c7-c6.

Niebezpieczne jest dla czarnych przyjęcie ofiary piona: 12... Sf-e4 13. S:e4 G:d4 14. Gg5 Hd7 (14... f8 15. G:f6!) 15. Sf6+ G:f6 16. G:f6 itd.

13. Gc1-e3 a5-a4 14. Wa1-d1 Sf8-d7.

Zazwyczaj grywano w tej pozycji 14... Ha5.

15. f2-f4 Ha8-a5 16. Ge3-f2 Sd7-b6.

Wchodziło poważnie pod rozważę 16... a3.

17. Sg2-f1 Ha5-b4 18. a2-a3 Hb4-a5.

Czarne wywołały osłabienie hetmańskiego skrzydła przeciwnika, ale kosztem dużej straty czasu.

10. Sc3-b1 Gc8-d7 20. Sd4-f3 f7-f5.

W ten sposób czarne nie

dają przeciwnikowi czasu na wzięcie piona d6, osłabiają jednak znacznie pozycję swego króla.

21. e4-e5 d6:e5 22. Sf3:e5 Gg7:e5.

To już jest wielka lekkomyślność! Należało grać 22... Wad8.

23. f4-e5 Sc5-e4 24. Gf2-d4 c6-c5.

Na 24... S:g3 nastąpiłoby 25. Hf2.

25. Gd4-c3 Ha5-a6 26. Wel:e4! f5:e4 27. Sb1-d2 Gd7-f5.

Nie lepsze było i 27... e3 28. Se4 Gf5 29. Gd3 itd.

28. g3-g4 Wa8-d8.

Przeżywało i 28... e3 29. g:f5 e:d2, 30. f:g6 h6 31. Hf5,

ale ostatnie posunięcie czarnych jest chyba wynikiem rozpacz.

29. g4:f5 g6:f5 30. Sd2:e4! f5:e4 31. e5-e6! Wd8-d4 32. Wd1-d4!

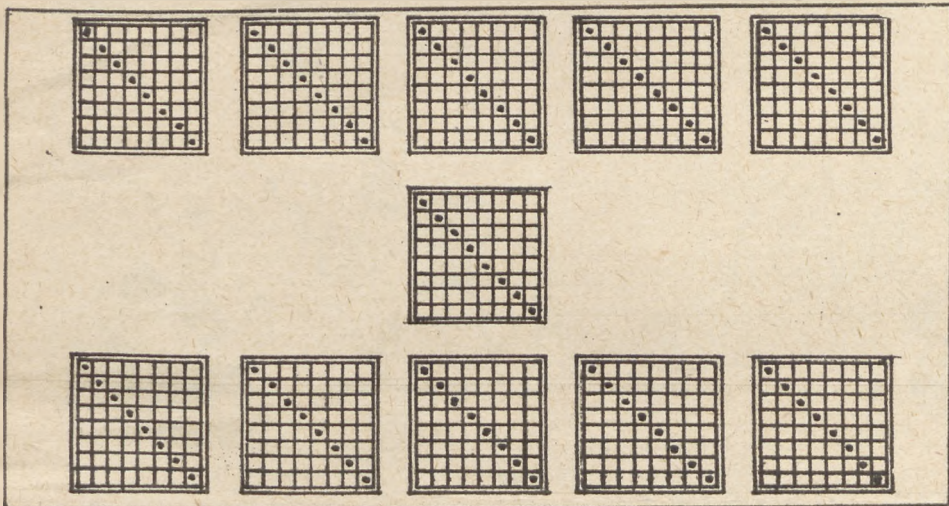
To jest o wiele silniejsze niż 32. G:d4.

32... c5:d4 33. Hc2-g2 = Kg8-f8 34. Gc3-b4+ i czarne

poddały się.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

LOGOGRYF



Do każdego kwadratu wpisać po 8 wyrazów ośmioliterowych o poniższych znaczeniach. W każdym kwadracie litery na zaznaczonych przekątnych są jednakowe. Litery z przekątnych (po jednej z każdego kwadratu) czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Kwadrat 1: Młody dzik — Część godziny — Jeden z dni tygodnia — Główna część samochodu — Zbiór dokumentów — Marka samochodów polskich — Miasto powiatowe między Łodzią i Radomskiem.

Kwadrat 2: Nauka o budowie ciała — Orszak podróżnych na pustyni — Kobieta jeżdżąca konno — Pomieszczenie dla ryb — Autor „Lilli Wenedy” — Szpital polowy — Pismo własnoręczne — Rozległy widok na okolicę.

Kwadrat 3: Niezbędny rekwiizyt damskiej torebki — Ludzie pozabawieni barwnika skóry — Tytuł filmu nakręconego na tle powieści Newerlego — Podobieństwo — Związek chemiczny dający z kwasami sole — Obosieczny nóż myśliwski — Krzywa szabla staropolska — Ozdobny świecznik.

Kwadrat 4: Umowa, układ — Obraz malowany farbami wodnymi — Część aparatu telefonicznego — Przedstawienie teatralne — Praktykant

biurowy — Starodawna budowla w Krakowie — Pojęcie oderwane — Uczestnik zawodów.

Kwadrat 5: Część fizyki zajmująca się rozchodzeniem się głosu — Drobiazg — Ozdoby architektoniczne — Placówka dyplomatyczna w stolicy innego państwa — Jedno z państw demokracji ludowej — Oficer przyboczny dowódcy — Wynik — Surowiec do wyrobu świec.

Kwadrat 6: Rodzaj przedstawienia scenicznego z muzyką — Jedna ze stron świata — Wielbiciel — Artysta cyrkowy — Lekkoatleta, specjalista od jednego z rzutów — Krzywa drugiego stopnia — Badacz ciał niebieskich — Miasto powiatowe między Ostródą i Kolnem.

Kwadrat 7: Zdanie pozornie niedorzeczne — Odwołanie się do wyższej instancji sądowej — Nakrycie głowy — Papierowe latarnie — Oparcia okienne — Ryba — Gatunek ciasta — Przyrząd optyczny łodzi podwodnej.

Kwadrat 8: Zabieg chirurgiczny — Połysk nadawany przedmiotom z drzewa — Opowiadanie — Potwierdzenie, zgoda — W dawnej administracji: przełożony powiatu — Zwinnę zwierzę podobne do kozicy — Klawiszowy instrument muzyczny — Kopiec mrówek.

Kwadrat 9: Część pułku — Wyższa uczelnia — Niszczyciel — Belki pod szynami kolejowymi — Tytuł ilustrowanego tygodnika polskiego — Przyrząd optyczny do obserwowania ciał niebieskich — Kierowniczka pracowni kapeluszy damskich — Pismo codzienne.

Kwadrat 10: Dotyczący danych czasów — Figura geometryczna o równych bokach — Część maszyny do szycia — Łącznie, razem — Naczynie laboratoryjne — Pasma wżynne w Beskidach wsch. — Raptowna zmiana — Mający kształt ósemki (wspak).

Kwadrat 11: Zwinnny ptak — Przejaw — Tancerka indyjska — Miasto powiatowe między Tucholą i Miałkiem — Przyrząd elektryczny do grzania — Kwiat pachnący po zachodzie słońca — Najwyższe góry świata — Okres bezczynności maszyny.

(„Zetka” — Chorzów)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązanie, rozlosowane zostaną

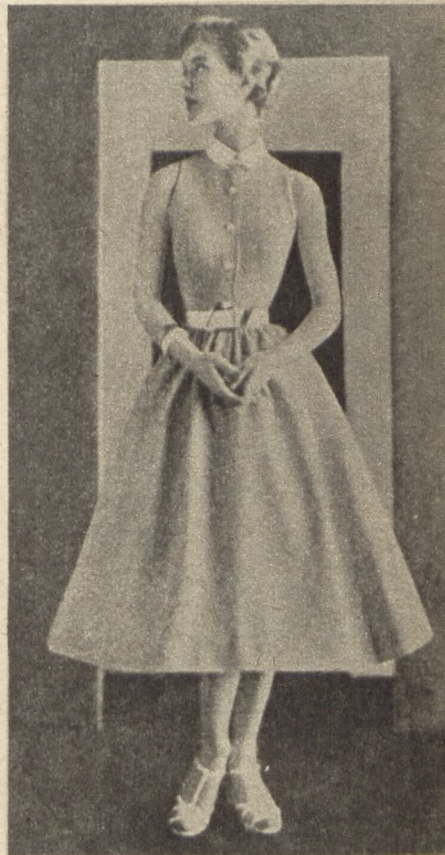
nagrody książkowe

TANIO ŁADNIE

Chociaż ciągle pogoda nie dopisuje i właściwie nie bardzo wiele jest okazji do noszenia letnich sukien — stan ten kiedys przecieć musi ulec zmianie. Dlatego też uparcie pokazujemy modele letnich sukien (może to spowoduje pogodę?) — zwłaszcza że, jak widzicie, są wyjątkowo ładne.

Pierwszy model u góry, to suknia z płócienną bawełnianego. Góra zdobiona haftem, dość bardzo kłozowy.

U dołu dwa proste i bardzo efektowne modele sukien bez rękawków, które możemy uszyć z piki jedwabnej, popeliny, płócienną bawełnianą lub kretonu.



ROZWIĄZANIE ZGADYWANKI ZE STR. 24



- 1 + F SKOCZEK
- 2 + E BOKSER
- 3 + B TENISISTKA
- 4 + D KOSZYKARZ
- 5 + A CIĘŻAROWIEC
- 6 + G SIATKARKA
- 7 + C PLYWAK
- 8 + H STRZELEC



Oto ostatnie echa Spartakiady: zgadywanka dla miłośników sportu. Nasz rysownik podsłuchał i podpatrzył sportowców oglądających jeden z meczów piłkarskich. Byli to, jak się okazało, sportowcy patrzący na wyczyny innych kolegów wyłącznie przez pryzmat uprawianej przez siebie

konkurencji. Z czynionych przez nich uwag odgadnijcie, jakie gałęzie sportu reprezentują i jaki fragment meczu każdy z nich ma na myśli.

Ci, którzy mimo „Notatnika zapaleńca” dotąd nie opanowali terminologii sportowej, znajdą rozwiązanie na str. 23.

